Rok VI. Warszawa, Grudzień 1931. № 10.

RUCH LITERACKI

DZIESIĘĆ ZESZYTÓW, WYDAWANYCH CO MIESIĄC, Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA, TWORZY TOM

REDAKTOR Prof. Dr. BR. GUBRYNOWICZ

WYDAWCY GEBETHNER i WOLFF

KULTURA JĘZYKA W WIEKU XVI

Referat mój miał mieć pierwotnie zakres nieco inny: artyzm języka w wieku XVI. W toku opracowywania okazało się jednak, że wyznaczony siłą rzeczy okres czasu nie starczy na spełnienie tak ujętego zadania [1].

Wchodziły tu w grę przyczyny dwojakiego rodzaju: brak opracowań szczegółowych, na których — choćby tylko jako na zbiorze materjału — możnaby się oprzeć przy opracowaniu ogólnem, syntetyczno-przeglądowem, oraz trudności natury teoretycznej.

Co do pierwszego punktu: zdawałoby się, że tak źle nie jest. Przecież i nasze językoznawstwo dosyć dużo nam już powiedziało o ewolucji języka polskiego w wieku XVI, i badania nad autorami tej epoki tak często przecież omawiają literacko-artystyczną stronę ich języka (by wymienić choćby tylko pracę o Reju, Górnickim, Kochanowskim, Szarzyńskim). Jednakże wszystko to jest najpierw bardzo niekompletne — właściwie tylko o kilku autorach coś powiedziano, dziesiątki innych są zupełnie pod tym względem nietknięte (bo nie mogą tu wchodzić w rachubę przygodne epitetowe określenia, jak „świetny stylista", „polszczyzna znakomita" i t. p.). Te zaś „opracowania", które mamy przed sobą, cierpią na różne braki wewnętrzne. Tak np. nie pokazują one rozwoju artyzmu języka, wzajemnego pod tym względem stosunku poszczególnych autorów do siebie (np. stosunek Kochanowskiego do jego poprzedników, wpływ na następców); ten stosunek odczuwamy, widzimy, ale naukowo nie jest on opracowany. Nadto: opracowania dotychczasowe są niezwykle rozbieżne i niejednolite co do punktu wyjścia. Jedni badacze zwracają uwagę przedewszystkiem na dobór wyrazów, inni na charakterystyczność, inni na jasność i t. d. Otóż z kilkunastu domków różnorodnych, luźnie obok siebie stojących, trudno zrobić jeden gmach jednolity. Dopiero cały szereg opracowań szczegółowych, wychodzących z jednej, wspólnej zasady, pozwoliłby nam pokusić się o coś w rodzaju syntetycznego przedstawienia artyzmu języka polskiego wieku XVI.

Drugi powód, że dziś trudno jeszcze myśleć o takim ogólnym obrazie, tkwi w trudnościach i wątpliwościach natury teoretycznej. Jest ich cały szereg; zwrócę uwagę na niektóre tylko, ważniejsze.

---

[1] Referat ś. p. prof. Stanisława Dobrzyckiego, wygłoszony na Zjeździe im. Jana Kochanowskiego w Krakowie, w r. 1930, nie wszedł do księgi zjazdowej „Kultura staropolska". Za łaskawe udzielenie go naszemu pismu składa Redakcja JW Pani prof. Dobrzyckiej głębokie podziękowanie. Przyp. Red.

W owych badaniach artyzmu języka normalnie abstrahuje się niejako sam ten język od organizacji twórczej pisarza. Tymczasem rodzaj i jakość artyzmu języka jest poprostu czynnikiem i odbiciem tej organizacji. Czyli: ile indywiduów pisarskich, tyle indywidualnych języków, tyle indywidualnych artyzmów językowych. Innym jest język i jego artyzm u Reja, inny u Kochanowskiego, inny u Szarzyńskiego, Orzechowskiego, Skargi. Jakże to wszystko, tę całą masę różnorodnych, indywidualnych zjawisk ująć w jakąś ciągłość w jakąś normę i prawo, bez czego niema mowy o historycznem ujęciu i przedstawieniu kwestji? Z drugiej strony znowu i w tych indywidualnościach muszą być jakieś momenty wspólne, łączące, skoro oczywistość nam powiada, że języki Orzechowskiego, Kochanowskiego, Bielskiego, Skargi, razem wzięte, tworzą jednak jakąś jedność, jakąś całość, różną od całości języków, Mijakowskiego, Morsztyna, Potockiego, albo języków Krasickiego, Zabłockiego, Trembeckiego, Karpińskiego. Postulatem więc badania i przedstawienia sprawy będzie należyte rozdzielenie tych dwóch elementów, przy ciągłem ich łączeniu; utrzymanie między niemi równowagi, przy równoczesnem uwydatnieniu właściwości każdego. A to i praktycznie jest trudne, i teoretycznie niezupełnie pewne.

Inna znowu trudność: te same wyrazy, często te same grupy wyrazów raz dadzą wrażenie najwyższej poezji i piękności, drugi raz będą bezbarwne, albo wprost nieartystyczne. Z tego samego językowego materjału co „obraz", w „Dobrego zdrowia rządzeniu" Mymera:

> Bo żołądek napełniony,
> Czyni smutki i boleści,

będziemy mieli u wielkich poetów rzeczy pierwszorzędne. Albo takie zjawisko np.: W dotychczasowych badaniach i w dotychczasowem naszem wrażeniu język Reja jest piękny, przez swą żywość, plastyczność, ruch. Równocześnie zaznacza się, że ten Rej góruje nad Kochanowskim, albo — by zostać przy prozie — nad Górnickim. Czy stąd płynie wniosek, że artyzm, piękno języka Kochanowskiego, lub Górnickiego są niższe aniżeli u Reja? Widocznie więc na zagadnienie artyzmu języka składa się cały szereg zagadnień szczegółowych. A wszystko to nie jest w nauce postawione jasno. Nie mamy gruntownej podstawy, należytego sprecyzowania, na czem właściwie polega artyzm języka, w czem tkwi jego istota.

Gdy więc omówienie tego zagadnienia dla Polski XVI w. spotyka się na razie z przeszkodami niepodobnemi do usunięcia, wolno nam zająć się zagadnieniem „łatwiejszem i konkretniejszem". Jest niem kwestja kultury języka. Tu już i dotychczasowe badania mogą służyć pomocą pewną, i teoretycznie zjawisko jest prostsze: indywidualne oczywiście także, ale w daleko wyższym stopniu kollektywne, socjologiczne, czyli łatwiej dające się uogólniać; podlega też w większej aniżeli artyzm mierze ingerencji człowieka, który tu stwarza pewne normy, obowiązujące ogół.

Już w wiekach średnich możemy zauważyć pewną ewolucję języka literackiego polskiego w kierunku k u l t u r y t. zn. pewne tendencje do jego udoskonalenia, do większej staranności w wyborze słów, konstrukcji zdań, do większej jasności w oddawaniu myśli. Nie są to tendencje bardzo świadome, oparte na rozumowych i wyrozumowanych zasadach i wzorach, i nie należy ich znaczenia przeceniać, nie mniej jednak, zarówno w wierszu jak i w prozie, one istnieją, i sprawiają, że pomiędzy tekstami pierw-

szych lat XV wieku a z lat końcowych pewna różnica pod tym względem niewątpliwie jest.

Otóż ten rozwój w tym kierunku kontynuuje się i potęguje w pierwszej połowie XVI w. Pisze się teraz znacznie więcej, drukuje, więc już przez to samo język w pewnych kierunkach będzie się zmieniał, rozwijał, kształcił. Oczywiście i w tym razie nie należy oczekiwać zbyt wielkich rzeczy; i wśród drukowanych książek tej epoki znajdują się przykłady wielkiej nieudolności językowej. Ale wzrasta już bądź cobądź liczba książek, których autorowie — tak oryginalni jak i tłumacze — piszą znacznie lepiej, niejednokrotnie zupełnie dobrze.

W tej kontynuacji prądu, którego początki są jeszcze w wiekach średnich, następuje jednak obecnie pewna zmiana, pewna nowość bardzo ważna. W wiekach średnich ta tendencja do doskonalenia języka jest niejako nieświadomą — obecnie staje się ona dążeniem już znacznie więcej świadomem swego celu i swych środków. Ewolucja języka, zrazu jakby czysto przyrodnicza, naturalna, zacznie teraz w wyższym stopniu być rezultatem świadomej ingerencji człowieka czyli tendencyj kulturalnych par excellence.

Jest to najpierw wynikiem większego i silniejszego rozwoju kultury wogóle. Jeżeli chodzi o literaturę w języku polskim, to ma ona jeszcze dość długo charakter średniowieczny, i średniowiecznym jest typ duchowy, który się w niej i przez nią wypowiada, średniowieczną jej kultura. W każdym razie jednakże ta średniowieczna kultura teraz jest niejako rozleglejszą, ilościowy jej rozwój jest daleko większy, aniżeli np. w połowie w. XV, wskutek tego zaś automatycznie niejako zwiększa się liczba „zagadnień", które się usiłuje rozwiązać i bądź co bądź pogłębia się sposób ich rozpatrywania. Zatem i co do języka. Pisarze wieków średnich pisali w sposób przyrodzony, a gdy się na jakieś wzory zapatrywali (łacińskie, czeskie), to w ten sam sposób; nie mamy z tej epoki świadectw, iżby się nad tą sprawą teoretycznie zastanawiali (Parkosz mówił tylko o grafice i ortografji). Obecnie także wprawdzie nie spotkamy się z jakąś osobną rozprawą, zastanawiającą się nad powyższemi zagadnieniami, ale w rozmaitych przygodnych wynurzeniach, w przedmowach do książek, natrafiamy już na ogólne, teoretyczne do pewnego stopnia uwagi na ten temat. Przyczynia się do tego niewątpliwie rozwój szkolnictwa, w którem te sprawy siłą rzeczy musiały się znaleźć w praktyce nauczania.

Drugim czynnikiem, który bardzo wydatnie wzmocnił tendencję ku rozwojowi i pielęgnowaniu kultury języka było potęgujące się i uświadamiające poczucie patrjotyczne. Jego wyrazem są w pierwszych dziesiątkach XVI w. owe np. wstępy drukarzy — wydawców i autorów, — w popularnych ówczesnych książeczkach, zachęcające do czytania polskich książek i do poszanowania i pielęgnowania języka narodowego. Ze strony drukarzy mógł to być też jeden ze sposobów reklamy kupieckiej, ale i sam fakt, że taka w tym duchu idąca reklama teraz się pojawia, świadczy o istnieniu takiego prądu w społeczeństwie. Otóż ten podkład patrjotyczny jest momentem nadzwyczaj doniosłym dla dalszych losów tej kultury językowej.

W tym samym czasie, kiedy Biernatowie i Glaberowie wydają książeczki całkowicie średniowieczne, mamy już Krzyckich i Janickich, mamy humanizm. Humanizm jest z początku właściwie nieprzyjacielem języków narodowych w literaturze i korespondencji. Było to rzeczą naturalną. Wo-

bec bogactwa, piękna, a i łatwości łaciny, jakże można posługiwać się narzędziem tak niezgrabnem i niewydoskonalonem, jak język polski? Kromer wyraźnie powiada, że pisze po łacinie, albowiem nostra lingua neque tam copiosa est quam aliae, neque scriptu lectuque facilis. Jednakże życie (m. i. i reformacja) sprawia, że zakres języka narodowego staje się coraz większy, że obejmuje coraz większe obszary. Faktu tego i humaniści nie mogą nie widzieć i nie uwzględniać, zwłaszcza, że tak wielu z nich bierze żywy, intensywny udział w tych wszystkich sprawach. Dalej: w związku i na tle kultury renesansu rozwija się niewidzialna dotąd w takiej sile i w takim powabie kultura życia towarzyskiego. Mimo całego entuzjazmu dla łaciny, nie może być ona językiem rozmowy towarzyskiej — musi być nim język rodzimy. Więc humaniści, którzy sami tak owo życie towarzyskie lubią i uważają za dowód wyższej kultury, muszą dbać i o język rodzimy, o jego wykształcenie i ogładę, z jednej strony dlatego, że ma to być język szlachetny i wykwintny, z drugiej dlatego, że rozmowy towarzystwa renesansowego, to nie bezmyślna paplanina dla zabicia czasu, ale rozmowy o rzeczach ważnych, głębokich, pięknych, więc potrzebują odpowiednio wydoskonalonego języka.

Wreszcie ów wspomniany moment patrjotyczny, miłość ojczystego języka. Humaniści cenią nadewszystko łacinę; sądzą zrazu, że język polski jest i mniej od niej piękny i uboższy. Ale równocześnie i u nich silne poczucie narodowe działa. To też i oni, tak samo jak Rej, chcą pokazać, że Polacy nie gęsi, że swój język mają. I ta miłość wskaże im wyjście z trudnego dylematu. Łaciny oczywiście się nie wyrzekną; będą jej używać w takich książkach, które będą przeznaczone nie tylko dla Polski, ale dla całego cywilizowanego świata. Ale obok tego i najgorliwsi między nimi czciciele starożytności będą pisać i po polsku, a co najważniejsze, będą dbać o udoskonalenie języka polskiego. Bardzo pod tym względem jest charakterystyczna dyskusja w „Dworzaninie"; choć na tle dzieła obcego, daje ona jednak wyraźne świadectwo, jak się na tę sprawę zapatrywali humaniści polscy. Górnickiemu języki starożytne wydają się oczywiście piękniejsze, a równocześnie daje on w tem miejscu swego dzieła defense et illustration de la langue polonaise, zachęca do pielęgnowania, do kształcenia mowy ojczystej.

Otóż fakt, że teraz i humaniści przyłączają się do owej tendencji kultury języka, miał dla nich doniosłe a dodatnie znaczenie. Mamy teraz do czynienia już nie z takiem naturalnem rozwijaniem się języka, ale ze świadomą jego uprawą. Humaniści zdają sobie sprawę ze swego celu, idą doń według rozumowych zasad i kierują się pewnemi wzorami. Wzory te oczywiście tylko klasyczne, starożytne; ale w drugiej połowie XVI wieku możnaby też mówić i o oddziaływaniu włoskiem. Teoretyczne zaś poglądy czerpano z Cycerona i Kwintyljana.

Jakże teraz wygląda rzecz w praktyce? Co robią ci pisarze, aby osięgnąć ową kulturalność języka?

Jedną z zasad tego postępowania jest eliminacja, usuwanie tego, co w języku wydaje się brzydkiem. Ale „brzydkiem" jest narazie jeszcze nie to, co my dziś nazywamy brzydkiemi wyrazami, bo takie znajdujemy nie tylko u Reja i Anonima, ale i u Kochanowskiego i u Klonowicza i u wielu innych, ale to co się wydaje śmiesznem. Śmiesznem — tak samo zresztą jak i dzisiaj — jest to, co wygląda jakby na przekształcenie, przekręcenie

wyrazu, używanego przez ludzi z lepszego towarzystwa, albo co jest niezrozumiałe.

A więc przedewszystkiem wyrazy gwarowe i prowincjonalne. Musimy naturalnie pamiętać, że ówcześni ludzie nie prowadzili studjów dialektologicznych, więc zwracali uwagę tylko na rzeczy najjaskrawsze. Anonim-protestant cytuje kilka przykładów „takiej grubej chłopskiej mowy". Zasadniczo więc usuwa się te grube chłopskie słowa, najbliższe niejako, zrozumiałe jeszcze dla ludzi z lepszego towarzystwa, ale już przez nich nie używane. O ile gwara pojawia się w literaturze, to wyłącznie, dla celów humorystycznych. Obok „chłopskich" wogóle śmiesznemi wydają się prowincjonalizmy — przedewszystkiem mazowieckie (na inne jeszcze nie zwrócono uwagi, stanie się to znacznie później, najpierw w intermedjach). Inna rzecz, że u całego szeregu autorów znajdziemy dużo prowincjonalizmów, ale takich, które zbytnio nie raziły, albo też uchodziły uwagi. Teoretycznie jednak panuje zasada usuwania wyrazów gwarowych i prowincjonalnych.

Druga dziedzina, w której odbywa się to cywilizowanie języka przez usuwanie pewnych elementów, to archaizmy. Zjawisko w języku oczywiście stałe, ciągła przemiana, ruch, życie. Ale to, co się w języku mówionym, w języku całej masy, dokonywa nieświadomie, w języku literackim robione jest świadomie i celowo, zwłaszcza w epokach większych przemian duchowych, kulturalnie świadomych. Taką epoką jest ten wiek XVI. Czuje się on czemś nowem w stosunku do wieków średnich, w stosunku do kultury dawniejszej, stąd też musi być w niem silna tendencja do usuwania wyrazów dawnych i zastępowania ich nowemi. Górnicki w „Dworzaninie" mówi o ludziach, którzy dla pokazania niższości języka polskiego wyjeżdżają na plac ze słowami wyrwanemi z „Bogarodzicy". Myśl jest wyraźna: Górnicki tego argumentu nie uznaje, ponieważ dla niego wyrazy przestarzałe nie należą już do żywego, rozwijającego się, cywilizowanego języka. W praktyce świetnym, klasycznym niemal przykładem na to usuwanie form i wyrazów dawnych są dwa wydania Biblji Leopolity: z r. 1561 pełnej jeszcze średniowieczności, form i słów i z r. 1574, usuwające starannie te archaizmy i zastępujące je formami nowemi. Pozatem możemy ten objaw śledzić przez porównywanie autorów z różnych lat. Jak wspomnieliśmy, wymieranie form i wyrazów dawnych i powstawanie nowych na ich miejsce, jest normalnem zjawiskiem w przyrodniczem rozwoju języka. Proces ten może być jednak przez człowieka przyśpieszony i wzmocniony. U pisarzów polskich XVI w. przyczyniło się ku temu niewątpliwie studjum starożytnego piśmiennictwa, tam bowiem, na przykładach, mogli śledzić takiż proces w starożytności, i na tej podstawie mogli sobie uświadamiać i wytworzyć pojęcie archaizmów i nowotworów językowych.

Należy podkreślić chronologję tego usuwania gwary i archaizmu. Odbywa się ono oczywiście ciągle, ale są w tem różnice nasilenia. Najsilniej, najwyraźniej, prawie, że najjaskrawiej proces ten uwydatnia się w latach mniej więcej po roku 1560. Skądinąd wiemy, że renesans polski właśnie w tym czasie zaczyna dochodzić do swojej pełni i do punktu największego napięcia dynamiki sił kulturalnych. Zaczęło się to od kultury więcej materjalnej i praktycznej: mieszkanie, stroje, sposób życia, objawiło nieco później w sztuce plastycznej, aż do swej pełni doszedł renesans polski w literaturze. Otóż ta, jak wiemy, w pierwszej połowie XVI w.

jest jeszcze średniowieczną. Bielski, Rej, są jakby jej zakończeniem, zresztą z pewnym przypływem elementów nowszych. Ale językowo są oni — zwłaszcza Rej — jakby najwyższym stopniem, do którego mogła dojść owa naturalna, przyrodnicza ewolucja języka. Dopiero po nich przychodzą Orzechowski, Górnicki, Kochanowski i inni, u których tendencje językowe są już uświadomione, czyli, że u nich objawia się tendencja renesansu także i w dziedzinie kultury języka. A dzieje się to właśnie w latach po roku 1560. I tutaj kończy się pierwsza faza, pierwszy etap tej kultury języka: Usuwanie tego, co się wydaje niekulturalnem.

Drugim etapem jest „elegantia". Popularny ten w owej epoce wyraz w pojęciu ówczesnych gramatyków (Stojeński) i pisarzy oznacza sumę tych wszystkich właściwości, które nadają językowi jasność i wytworność. Jasność jest zaletą logiczną, potrzebną zarówno mowie codziennej jak i językowi literackiemu; przez nią język spełnia swoje logiczne, rzeczowe zadanie, którem jest ułatwienie porozumienia się między sobą. Wytworność jest już zaletą więcej artystyczną; może być i w mowie codziennej, ale głównie chodzi tu o język literacki. Jej cel jest artystyczny: wzbudzenie wrażenia piękna.

Podobnie jak przy usuwaniu prowincjonalizmów i archaizmów, tak i tutaj mamy do czynienia z teoretycznem zastanowieniem się nad tą kwestją, ale jest ono tutaj więcej pogłębione, bo i kwestja sama jest więcej złożoną i w służącej za wzór literaturze starożytnej znajdowano co do tego więcej materjału (wszystkie retoryki przecież głównie tem się zajmują). Wyrazem tego zastanawiania się będzie pisanie gramatyki. Wprawdzie gramatyka Stojeńskiego (1568) będzie miała cel praktyczny, nauczenie obcych języka polskiego, ale równocześnie Stojeński chce nauczyć języka warstw wykształconych, eleganckiego: „in eorum gratiam, qui eius linguae elegantiam cito ac facile addiscere cupiunt". Gramatyka jest zbiorem reguł, norm, nietylko dla anatomji mowy, ale i dla jej elegancji. Problemami gramatycznemi zajmują się też i inni pisarze, Kochanowski, Orzechowski, Górnicki. Najlepszym dowodem, o ile głębiej ujmuje teraz się te sprawy, jest porównanie uwag Stojeńskiego, Górnickiego i innych z naiwnym poglądem średniowiecznego Reja, że do nauczania języka gramatyka jest niepotrzebną, bo przecież nie masz gramatyki w tatarskim lub tureckim języku, a Polak snadnie tych nauczyć się może.

Z różnych dróg wiodących do elegancji języka, zaznaczmy zwłaszcza dwie, w zgodzie z ową zasadą jasności i wytworności. Pierwszą jest nacisk na naukę składni, sposób łączenia i grupowania wyrazów tak, aby myśl była pełną i jasną. Za wzór służy przedewszystkiem składnia łacińska ze swą subtelnością, wykształceniem formalnem i myślowem; dzięki niej zjawia się w literaturze polskiej nienaganny perjod (różnica między perjodami Górnickiego i Orzechowskiego, a Reja i Bielskiego). Wytworność osiąga się przez dobór, przez segregowanie wyrazów. I znowu możemy to świetnie zaobserwować przy zestawieniu Reja (i jego szkoły) z Kochanowskim. Rej jest, jak wiadomo obdarzony dużym talentem słowotwórczym i tworzy dużo wyrazów nowych bardzo dobrych i szczęśliwych. Ale tworzenie to jest więcej nieświadome, przyrodzone, nie wynika ze świadomej koncepcji myślowej. Nadto: w pozostałym materjale językowym Rej zupełnie wyboru nie robi, nie segreguje (w zgodzie z charakterem całej swojej twórczości). Równocześnie (i nieco później) Kochanowski za-

stosowuje to segregowanie na tak wielką skalę, że aż ściągnął na siebie ze strony niektórych krytyków XIX wieku zarzut zubożenia języka polskiego literackiego. Dobiera on wyrazy tak, aby najlepiej służyły swemu celowi myślowemu i artystycznemu. To samo widzimy u Górnickiego, Orzechowskiego, to samo u późniejszych autorów.

Chronologicznie to dążenie do elegancji języka jest najsilniejsze znowu w latach po roku 1560 i wkrótce cel osięga. Spójrzmy na autorów od r. 1570, Rej powiada, że za jego czasów język ksiąg jest już całkiem różny od tego, który on znał w swej młodości; cóżby dopiero powiedział, czytając Szarzyńskiego, Grabowieckiego, Szymonowicza! A tej różnicy częścią składową byłyby nie tylko zmiany czysto gramatyczne, ale jeszcze w wyższym stopniu owe zmiany kulturalne. Innemi słowy: owa tendencja ku kulturze języka ma pierwszą fazę w pierwszej połowie XVI wieku i z początkiem drugiej, fazę naturalną, przyrodzoną, mało uświadomioną i drugą, zaczynającą się po r. 1560 opartą o świadomość istoty zagadnienia, celu i środków, fazę kulturalną par excellence, gdy przez kulturę rozumieć będziemy, dynamiczne dążenie do doskonalenia się. Nie ulega wątpliwości, że zjawisko to w dziedzinie języka jest odbiciem ogólnej prężności kultury polskiej w tym czasie, przechodzącej ostatecznie z form dawnych w nowożytne. Po Górnickim i Orzechowskim w prozie; po Kochanowskim w poezji, już tego wielkiego dążenia w tym kierunku nie będzie (może znowu pewna analogja do dążeń np. w dziedzinie politycznej). Poziom kultury został osiągnięty, dalszy rozwój będzie się obracał w szczegółach. Nie znaczy to iżby nastąpił zastój i upadek — ale nowego celu, nowej zasady być nie mogło, całkiem w zgodzie z linją rozwoju prądów kulturalnych — aż dopiero w w. XVII przyjdą nowe myśli. Przypatrując się autorom z dalszej epoki XVI stulecia widzimy, że np. Szarzyński, Grabowiecki, w prozie Skarga, dążą do swojej ekspresji. Korzystają ze zdobyczy dotychczasowych, nieraz ulegają wpływom poprzedników; przyłączy się oddziaływanie nowych wzorów (włoskich). Ale zarówno w poezji jak w prozie nie chodzi już tak dalece o nowe zdobycze w dziedzinie kultury języka, bo ta została osiągnięta, ile o nowe środki artystyczne. Od zagadnień kultury przechodzimy tu raczej do dziedziny artyzmu języka.

Na zakończenie zwróćmy uwagę jeszcze na dwa szczegóły.

1) Rozwój kulturalny języka polskiego w XVI wieku jest w poezji pełniejszy niż w prozie. Mamy kilku świetnych prozaików, ale gdy przypatrujemy się całości, to spostrzegamy w poezji większe bogactwo wyrazów i ich odcienie, różnorodność zwrotów, rozmaitość języka w związku z rozmaitością treści (język utworów religijnych, patrjotycznych, miłosnych, dydaktycznych i t. d.). Proza, jak zauważył Brückner, mniej mogła skorzystać z pracy językowej wieków średnich, aniżeli poezja. Następnie: jest w niej mniejsza rozmaitość gatunków, a więc mniejsza możliwość urozmaicenia języka. Najlepsi pisarze w niej to moraliści, kaznodzieje, politycy, brak np: beletrystyki.

2) Mówiliśmy dotąd ciągle o języku literackim, książkowym. Dla całokształtu kultury języka byłoby ważną rzeczą wiedzieć, jak wyglądała kultura życia codziennego. Niestety nie mamy właściwego materjału: protokułów z rozmów, realistycznej w całej pełni komedji, lub powieści (dialogi Orzechowskiego, Górnickiego i in. to robota literacka). Pośrednio tylko z zastrzeżeniami możnaby za źródło do poznania żywej, codziennej

mowy wziąć fraszki i listy. Otóż co do wszelakiego rodzaju fraszek, to możnaby sądzić, że obok kultury (językowo-towarzyskiej) było w tym języku codziennego życia dużo grubości i prostactwa: nie tylko taki Rej albo Anonim - protestant, ale i sam Kochanowski, tak wykwintny w swych dziełach, we fraszkach grzeszy przeciwko tej zasadzie niejednokrotnie (mówimy o samym języku). Widocznie kultura życia towarzyskiego zależnie od miejsca, czasu, nastroju, nawet u ludzi bardzo kulturalnych ulegała wahaniom. Listów mamy z tej epoki dużo. Większa ich część pisana jest wyraźnie językiem literackim. Niekiedy jednak — gdy pisane są istotnie przez kobiety (np. Barbary Radziwiłłówny, lub pań Szydłowieckich) możnaby je uznać za odbicie języka codziennego; jest on w tych razach delikatny niewątpliwie, ale jego wyrobienie stylistyczne jest często jeszcze bardzo małe. Badanie kultury języka polskiego w wieku XVI jest ważnem prolegomenon dla badań nad jego artyzmem. Ale to już dalsze zagadnienie.

Poznań. *Stanisław Dobrzycki* †.

O SYMBOLIKĘ MAŁEJ IMPROWIZACJI I O POJĘCIE ODPOWIEDZIALNOŚCI KONRADA

1. Rozmowa o symbolice t. zw. małej improwizacji Konrada, ściśle biorąc o tem, kogo wyobraża tam zjawa kruka: anioła czy szatana, rozmowa ta, zaczęta przed rokiem w Pamiętniku Warszawskim [1], przeniosła się na karty naszego Ruchu. W majowym zeszycie b. r. ukazał się artykuł prof. J. Kleinera „Anioł przeciwnikiem Orła-Konrada w małej improwizacji", który wszelako nie wydaje się, żeby mógł być zamknięciem dyskusji. Replika niniejsza na tamte wywody została rozmyślnie nieco opóźniona. Chodziło o to, by nie ciągnąć dialogu, ale poczekać, czy się krąg rozmówców nie rozszerzy. Oczekiwanie jednak było daremne. Istotnie, widać, ma rację prof. Kleiner, mówiąc, że polemika naukowa należy u nas do wydarzeń co najrzadszych. Jakiekolwiek jednak są przyczyny tego milczenia uczonych w piśmie, niema wśród nich napewno jednej: błahości przedmiotu spornego. Kwestja interpretacji jednej ze spraw Dziadów cz. III, i to ze spraw zasadniczych i istotnych, nie jest bagatelna, a wytoczona na łamach organu fachowego, powinnaby zostać możliwie wyczerpana. Trudnoż więc dłużej czekać; jeżeli nie można rozmawiać w szerszem gronie, kończmy przynajmniej dialog.

Jest w niniejszej potrzebie polemicznej pewien kłopot. Front jej rozciągnął się tak szeroko, wywód ostatni przechodzi przez tyle pozycyj, no i tyle nastręcza okazyj do utarczek cząstkowych, że by podjąć rozprawę na

[1] J. Kleiner. Z zagadnień walki między złem a dobrem w Dziadów cz. III. Pam. Warsz. 1930, zeszyt z listopada. — St. Pigoń. Orzeł i kruk w Improwizacji Konrada. Tamże, 1931, zeszyt z lutego.

całej linji, odparowywać każde pchnięcie, trzebaby sporo czasu i miejsca. Obawiam się, że oszczędna w papierze Redakcja miałaby za nadużycie gościnności, gdybym tu próbował wciągać i uzasadniać wszystkie pytajniki i wykrzykniki, poczynione na marginesie wywodów prof. Kleinera. Zresztą nie sądzę, by takie cząstkowe utarczki, choćby je nawet przeciągać aż do uprzykrzenia, prowadziły najwłaściwiej do celu; raczej od niego oddalają. Jak to tam powiedział Mickiewicz?

O czemkolwiek rozprawa, im dłużej się wiodła,
Tem dalsza jest od prawdy, jak woda od źrodła.

To też ze wszech miar stosowne będzie, że się tu zatrzymamy bliżej źródła i bliżej sedna sprawy. Sedno sprawy zaś leży w tem, czy proponowana przez prof. Kleinera interpretacja kruka ma za sobą dostateczne oparcie o tekst utworu, czy też nie, a powtóre czy harmonizuje ona z główną koncepcją dzieła, ze strukturą jego dramatycznej dynamiki, czy też ją wypacza. Mojem zdaniem w obu razach zachodzi ten drugi wypadek. Zdanie to postaram się uzasadnić zwięźle; czy dostatecznie, to już sobie rozstrzygnie, kto zechce.

2. O tem, że nowa interpretacja nie ma wystarczającego oparcia w tekscie dramatu, wystarczy słów niewiele. Wszystko, co prof. Kleiner zgromadził w drugiej rozprawie za swą tezą, nie zmieni faktu, że mała improwizacja nie jest ilustracją dramatyczną tego, co w swem postępowaniu z duszą Więźnia opowiada w Prologu Anioł Stróż. Według zdecydowanych i jasno ujawnionych pojęć poety pełną władzę nad duszą ludzką zdobywa Anioł dopiero w nocy, dopiero — jak to z przenikającą wyrazistością powiedziano w zwrotce przekreślonej.

Gdy dusza zamknęła oczy
Jako drzwi w domie rozpusty,
Gdzie się we dnie zgraja tłoczy,
I gdy zamknionemi usty
Już nie mogła się wymykać...

We śnie więc dopiero wyjmował Anioł duszę Więźnia z ciała, a znalazłszy w niej promień dobrej myśli, niósł ją w niebo i roztaczał przed nią

[1] Dla przykładu tylko zaznaczmy parę punktów spornych: 1) Pozorna piekielność kruka, — pisze prof. K. — ma jak najmniej wspólnego z piekłem istotnem (zgodnie z tezą prof. P., iż „na oko nie ma nic szatańskiego"). Czy tezy o wspólnocie „istotnej" i o wspólnocie „na oko" są naprawdę „zgodne" ze sobą, możnaby powątpiewać. 2) Wywód swój zaczyna prof. K. od postawienia alternatywy: albo potężny i „dostojny" kruk jest „larwą" anioła, albo też jest „jednym z groteskowych djabłów lub kusicieli nęcących i drażniących", jakie występują w Dziadach. Sądzę, że tak formułować obie możliwości wyboru, to znaczy dyskusję zbyt ułatwiać. 3) Twierdzi prof. K., że podczas kiedy w małej improwizacji kruk uderza w Konrada okiem potężnem, w wielkiej szatan atakuje jego oczy tylko pazurami, bo „on sam djabeł, nie włada okiem potężnem". Na twierdzenie to kładzie autor wielki nacisk i specjalnie je podkreśla; „to wielka różnica". Czyni tak, choć pamięta (i zaznacza), że w bruljonie wielkiej improwizacji „duch z lewej strony" mimo wszystko atakował — okiem; „wetknę mu moje ślepia". Czyżbyśmy mieli dane przypuszczać, że poeta usunął ten szczegół z bruljonu, ponieważ nie przyznawał szatanowi władzy oka potężnego? Przecież próbę tej szatańskiej mocy oka daje opętany Konrad, wskazując Rollisonowi drogę śmierci samobójczej! Dodać tu zresztą można, że atak wykonany przez kruka na Konrada: „w oczy mię jak dymem uderzył" ma swój odpowiednik w dawniejszej poezji Mickiewicza, gdzie wyraźnie zaznaczono, że taka jest metoda ataku piekielnego. W ten sposób mianowicie Gustaw-upiór zamierza wywrzeć zemstę na kochance: „Całe piekło — mych piersi przywołam do oka... Nawskróś okiem przebiję, wgryzę się jak piekielny dym pod jej powieki".

wizje szczęśliwości wiecznej. Dopiero gdy dusza oporna odepchnęła te wizje, dopiero wtenczas Anioł uciekał się do zadawania mąk...

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,
Przybierałem wtenczas postać
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać.

Tymczasem sytuacja w małej improwizacji absolutnie nie odpowiada tej, którą tu przedstawiono; nic literalnie z powyższych okoliczności tam się nie powtarza. Niema tam snu, niema wzlotu Anioła z duszą w niebo, niema przybranej „larwy piekielnej", niema strachu i niema chłosty.

Niema snu, bo pomimo całego, istotnie bliskiego zdaniem poety, pokrewieństwa snu i ekstazy, Mickiewicz w bruljonie Dziadów cz. III i w druku wszędzie pilnie pozaznaczał, gdzie mamy do czynienia ze snem, a przy małej improwizacji tego nie zaznaczył; jakoż faktycznie o śnie Konrada nie może tam być mowy, mamy natomiast do czynienia z najniewątpliwszem widzeniem na jawie. Niema zachwycenia w niebo ani wizyj niebieskich — odrzuconych; w wywodach swych prof. Kleiner tej sprawy nawet nie dotyka. Niema obrzydłej „larwy piekielnej", niema tego pozoru, któryby w duszy Konrada wręcz budził świadomość, że jest w mocy szatana; niema, bo postać kruka jest (cytuję za prof. Kleinerem) „pozbawiona wyraźnych rysów szatańskich", oczom Konrada ukazuje się jako (znowu cytuję) „dostojna piękność", a nie jak „larwa piekielna". A przecież „larwę" tę przybierał Anioł nie dla siebie, lecz przez wzgląd na duszę Więźnia, t. zn. taką, żeby w nim budziła grozę piekielną. Niema strachu ni zaciekłości, bo Konrad nie czuje się bezbronną ofiarą chłosty, nie wpada w bezsilną złość, ale staje z krukiem do walki i liczy, że go zwycięży. Niema wreszcie chłosty niby szatańskiej. Wiemy z tekstu, jak taka chłosta wyglądała, wymierzają ją djabły duszy Senatora:

Teraz duszę ze zmysłów wydrzem jak z okucia
Psa złego; lecz nie całkiem, nałożym kaganiec,
Nawpół zostawim w ciele, by nie tracił czucia;
Drugą połowę wleczmy aż na świata kraniec,
Gdzie z sumieniem graniczy piekielna kraina,
I złe psisko uwiążem tam na pograniczu:
Tam pracuj, ręko moja, tam świstaj, mój biczu!

Jeżeli Anioł przybiera postać właśnie piekielną, toć po to tylko, by w duszy Więźnia zostawić złudzenie, że odbiera plagi od szatana, a więc takie same jak dusza Senatora. Nic nas nie uprawnia do przyjmowania, jak przyjmuje prof. Kleiner, że Anioł-Stróż inaczej oczywiście straszy i chłosta duszę bohatera, niż djabli duszę Senatora". Nie, te dwie sceny nie stoją ze sobą w związku istotnym.

Sam prof. Kleiner przyznaje, że wszelkie inne względy, skłaniające do proponowanej przezeń interpretacji, są drugorzędne; i że „rozstrzygają [dopiero] słowa Anioła-Stróża w Prologu". Otóż nie wydaje się zgoła, by rozstrzygały, nie wydaje się bynajmniej, by przedstawiony tam sposób i przebieg traktowania duszy Konrada przez anioła opiekuńczego były zapowiedzią sceny małej improwizacji, żeby miały z nią jakikolwiek związek. Prof. Kleiner jest zdania, że wzmianka o aniele przybierającym postać szatana wymaga wyjaśnienia ze stanowiska celowości dramatycznej. Sądzę, że celowość ta jest dostatecznie wyraźna; poeta ukazuje nam w prologu hardą duszę Więźnia, nie podległą ani ponętom rozkoszy niebiańskiej ani

udręczeniom piekielnym. O to mu tam chodzi i to jest samo w sobie wyraźne.

3. Ale ostatecznie znużony może już czytelnik mógłby zapytać: o cóż tyle rozgwaru? Taka czy inna interpretacja jednego szczegółu w poemacie czyż to nie sprawa drobna i dalszorzędna? Sądziłbym, że w danym wypadku — nie. A to dlatego, ponieważ w grze jest tu nie szczegół, ale w dużym stopniu całość koncepcji artystycznej, skupionej w dramacie Konrada. Obawiam się, że proponowana interpretacja może wypaczyć nasze rozumienie i odczuwanie tego dramatu.

Wypaczenie myśli naczelnej dzieła widzieć trzeba w ujęciu postaci Konrada, ściśle biorąc w określeniu jego stosunku do duchów złych i dobrych, do kolumn,—mówiąc językiem Towiańskiego,—ciemnych i jasnych, oraz co za tem idzie, jego stopnia odpowiedzialności. Już po przeczytaniu pierwszej rozprawy prof. Kleinera miałem obawę, że gdyby przyjąć, iż Konrad w małej improwizacji działa już za poduszczeniem szatana, za jego sprawą wzbija się tam coraz wyżej w pychę, aż mu ją Anioł-Kruk musi załamać, gdyby tak przyjąć, to znaczyłoby osłabić dynamikę wielkiej improwizacji. Mianowicie trzebaby się wtedy zgodzić, w myśl metafizyki Mickiewicza, że Konrad, zaczynając wielką rozmowę z Bogiem, już był uprzednio wpadł w moc złego ducha, już miał za sobą swą „chwilę przeznaczenia", która wyrzekła „na całe życie" o jego losach, że więc szatan doczekał się już był przechylenia się ku piekłu duszy więźnia, spadł na nią jak grom i owładał. A w takim razie dramat wielkiej improwizacji już nie byłby dramatem w najwyższem znaczeniu tego słowa, byłby szamotaniem się rozpaczliwem jeńca szatańskiego, a nie tragedją duszy, która z własnych, samorodnych człowieczych podniet, a więc wolna jeszcze, zrywa się na walkę z Bogiem i może mieć uzasadnione przeświadczenie, że jest godna, by Bóg jej wydał tajemnicę mocy.

Obawa, że w proponowanej interpretacji tak właśnie należy rozumieć sytuację Konrada, po artykule drugim prof. Kleinera pogłębiła się i uzyskała pełne uzasadnienie. Postawiono tam bowiem sprawę w ten sposób (konsekwentnie, trzeba przyznać, ale dopiero teraz tak wyraźnie), że ta „chwila przeznaczenia" dokonała się już w Prologu; już tam Więzień przechylił się jakoby pod moc złego ducha. Innemi słowy znaczy to, że Konrad odrazu, wchodząc w dramat, od pierwszych niemal słów, a więc i przez całą scenę I, i wtedy kiedy broni imienia Marji, jest według tego pojęcia już w trokach szatańskich. Nie sądzę, żebym tutaj błędnie rozumiał myśl prof. Kleinera. „Kształt ostateczny dramatu, — pisze on najwyraźniej — czyni walkę duchów złych i dobrych o duszę Konrada momentem wstępnym, i to momentem doprowadzającym odrazu do rozstrzygnięcia". A w dalszym ciągu jeszcze wyraźniej: wielką improwizację „poprzedziła walka wewnętrzna,... która poddała Więźnia pod wpływ przemożny mocy piekielnych". W takim zaś razie czemżeż jest wielka improwizacja? I tu nie zostawia nas komentator w niepewności. Zdaniem jego, jest już tylko konsekwencją, tylko zadokumentowaniem w słowach sprawy rozegranej wcześniej. „Owa „jedna chwila, czytamy (niekoniecznie może jedyna), o której mówią Aniołowie, przypada na noc prologu. Improwizacja ukaże tylko jej ostateczne, skrajne konsekwencje". I na dowód cytuje autor ustęp z prologu:

> Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona,
> Jutro się w mowach i w dziełach pokaże.

Tą mową jutrzejszą ma być właśnie improwizacja. Żeby o tyle o ile uratować dynamikę tej sceny, rozumie komentator, że wynik owej walki wewnętrznej, w której dusza Więźnia już w prologu poddała się pod „wpływ przemożny mocy piekielnych", jest „dla duchów samych osłonięty jeszcze tajemnicą".

I znowu trzeba powiedzieć, że takie rozumienie nie ma dostatecznego uzasadnienia w tekście prologu. Z tekstu bowiem wynika oczywiście, że tajemnica taka jest wyłączona. „Ledwie jedną myśl rozniecisz, — mówi tam Duch w formie orzeczenia dogmatycznego, —

> Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
> Tak czekają twej myśli szatan i anioły,
> Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz.

Konrad uderzył jakoby w piekło i mieliżby szatani czekający o tem nie wiedzieć? Miałażby się w nim myśl rozniecić i wypalić, a dla duchów zostać tajemnicą? Nie, jeżeli chwila przeznaczenia dla Więźnia dokonała się faktycznie już w prologu, to konsekwencje jej występują na jaw odrazu, i — co zatem idzie — napięcie buntu i walki w wielkiej improwizacji, dla duchów współczynnych (i dla nas) traci na sile conajmniej przez połowę. Jest to tylko bezsilne porwanie się zapaśnika, który raz legł już zwalony na ziemię w sposób decydujący.

Jeżeli się dokonała. Ale rzecz w tem, że się nie dokonała, że nie możemy mówić o poddaniu się duszy Więźnia w Prologu „pod wpływ przemożny mocy piekielnych". I co do tego tekst utworu nie pozostawia nas w wątpliwości. Jeżeli nawet „między myślami bitwa już stoczona" (o znaczeniu tych słów zaraz będzie mowa), to twierdza duszy Więźnia w bitwie tej nie została jeszcze zdobyta przez atakujące duchy ciemności; oblegający ją szatani obiecują sobie zwycięstwo dopiero na wypadek długiego snu Więźnia („nasz będzie, — ach, gdyby spał długo!"), zachęcają się do ponownego ataku (poprzedni został widać odparty): „podwójmy napaść!", na co Aniołowie odpowiadają podwojeniem straży. Rozumieć to można tylko w jeden sposób. Nie ulega wątpliwości, dusza Więźnia nie staje się tu jeszcze jeńcem szatana, „chwila przeznaczenia" dla niej jeszcze nie nadeszła, nadejdzie dopiero w wielkiej improwizacji (czego świadomość wyraźną ma tam Konrad: „dziś jest chwila przeznaczenia"), przemoc piekielna zawładnie nim dopiero wtenczas, gdy w zapamiętałości buntu stanie aż nad przepaścią bluźnierstwa. Do tego czasu jest on grzesznikiem, oczywiście, hardym i krnąbrnym, niewątpliwie, niemniej jednak świeci jeszcze ciągle „w niebo", dopóki nie zagaśnie w improwizacji jak „kometa błędu". Nieuszczuplony patos tej gigantycznej sceny dopiero wtedy występuje spełna, gdy ją tak a nie inaczej pojmujemy, gdy rozumiemy, że Konrad wstępuje w nią z odpowiedzialnością niczem nie uszczuploną, t. zn. gdy ją pojmujemy tak, jak dotąd powszechnie [1].

A zatem w prologu psychomachji Konradowej jeszcze nie było. No, a owe zwroty: „między myślami bitwa już stoczona", „jutro się w mo-

[1] Tę zgodę powszechną komentatorów ogranicza prof. K., przypominając jeden komentarz odmienny. No tak, ale jest to komentarz właśnie prof. Kleinera, na odbitke streszczony tak, że autentyczność jego mogłaby się wydać niepewną. W wydaniu Wielkiej Bibljoteki podano trzy możliwe interpretacje równorzędnie do wyboru, ponadto w trzeciej z nich czytamy: „Kruk=Bóg". Czy naprawdę wiernie streszczono tam wykład seminaryjny profesora?

wach i w dziełach pokaże"? Rozwodzić się nad niemi niema tutaj potrzeby. Wiadomo przecie, że prolog stanowił w pierwotnym układzie dramatu scenę IV, akcja jego odbywała się po wielkiej improwizacji. Przenosząc go na dzisiejsze miejsce, poeta nie zatarł wszystkich śladów dawnych jego związków. „Będę wolny, — pamiętam, ktoś mi wczora prawił"..., mówi tam Więzień. Prawił mu mianowicie x. Piotr w scenie II. Podobnież „bitwa już stoczona" — to wielka improwizacja, łącznie z ingerencją x. Piotra. Natomiast zwrot: „jutro... się pokaże" nie odnosi się do wielkiej improwizacji, ale do dalszych dziejów Konrada w niedochowanym akcie drugim dramatu.

Wobec tego wszystkiego trzeba raz jeszcze powiedzieć: Interpretacja, która Konrada już od prologu czyni jeńcem szatana, która przyjmuje, że w małej improwizacji jest on w mocy ducha złego... jako jego narzędzie walczy z Aniołem, że taka interpretacja osłabia dynamikę dramatu, redukuje tragizm załamania się bohatera na szczycie wielkiej improwizacji, słowem, wypacza główną linję wewnętrznej konstrukcji utworu, a za tem przyjęta być nie może. Uchylimy ją tem łatwiej, im żywiej mieć będziemy w pamięci, że brak jej dostatecznego oparcia o tekst poety.

Kraków. *Stanisław Pigoń.*

PARALELE V.

„WYZŁACANA SZUBIENICA" PIEŚNI GÓRALSKICH

ZAGINIONE PODANIE O NAPIERSKIM I „MARCHOŁT"

1. SABAŁOWA PIEŚŃ O ZBÓJNIKU. W pieśniach zbójnickich, spopularyzowanych dzięki pisarzom tej miary, co poeta „Krzaka dzikiej róży" i autor „Skalnego Podhala", występuje interesujący motyw złotej szubienicy, na której kończą życie honorni amatorzy łupieskich wypraw na południowe zbocza Tatr. Motyw ten najzupełniej i najartystyczniej został wyzyskany w „Tańcu zbójnickim" Kasprowicza:

Płynie wina złoty zdrój —
Szubienice ujrzał zbój:
Jakże jabym wiedzieć chciał,
Na którejbym wisieć miał,
A od spodku po sam wirch
Powybijaćbym ją dał —
Hej!
Dukatami, talarami,
Aby jasność była z nami,
Jasność, jak w świetlicy —
Powybijaćbym ją dał,
Gdybym wisieć miał
Na tej szubienicy [1].

---

[1] Krzak dzikiej róży, Lwów 1907 [2], str. 115—116.

Gdzieindziej, w „Buncie Napierskiego", powiada dumna sołtysianka, Łętowska, do narzucającego się jej z miłością zbójnika Czepca: „Ej! złotem Jabym kazała wybić szubienicę, Kabyś ty wisiał — uważaj: z uciechy" [1]! Inni entuzjaści Podhala motyw ten przytoczyli w jego formie bezpośredniej, St. Witkiewicz więc zapisał zwrotkę pieśni Sabały [2], Tetmajer znowuż wplótł go, jako część pieśni góralskiej, „Pod jaworkiem, pod zelenym" do swej „Legendy Tatr" [3].

Źródłem tego motywu u pisarzy tatrzańskich jest tylko co wspomniana pieśń Sabałowa o zbójniku, Janie z Brzezawicki, znana z kilku wersyj, różniących się drobnemi odcieniami frazeologicznemi. W wersji zanotowanej przez Tetmajera, brzmi ona:

Na wysokim wirsku krzesom siubienicki —
Wtoz hań budzie wisiał? Jano z Brzezawicki.
Ej, kieby jo wiedzioł, na wtorejbyk wisieć miał,
Od wirsku do dołu powybijaćbyk ju dał,
ej, od dołu talarami,
a od wirsku dukotami,
a na wirsku złotu kawku,
hań polozem moju hławku [4].

Oprócz Sabały, o śmierci zbójnika na obitej monetami szubienicy śpiewywał Tomasz Gadeja, u niego jednak motyw ten stanowi właściwie mechaniczną doczepkę do szeroko rozpowszechnionej pieśni o zbójniku, mordującym swą żonę, gdy ta dowiedziała się tajemnicy jego krwawych wypraw [5]. Pieśń ta, zapisana po raz pierwszy przez Goszczyńskiego, przytoczona we wskazanym poprzednio urywku w „Legendzie Tatr" (przyczem dodać można, że w genezie tego utworu odegrała ona niepoślednią rolę), doczekała się przed paru laty bardzo starannej monografji, w studjum J. S. Bystronia „Pieśń o zbójniku i jego żonie" [6], W studjum tem zebrano również wszystkie ludowe odmiany pieśni o wyzłacanej szubienicy, i to nietylko polskie lecz i obce. Okazało się tutaj, że dosłowne warjanty pieśni Sabały występują na Słowaczyźnie, że zna je lud polski w okolicach Rabki, Andrychowa, Łańcuta, Przeworska, że spotyka się je nawet w Stanisławowskiem, w pieśni zaściankowej, prawiącej o mordercy dziewcząt, który chciałby mieć wyzłoconą szubienicę „aby mi świciła od jasnego słońca". Motyw ten pojawia się następnie na Rusi, na Morawach i w Niemczech, słowem jest wcale szeroko rozpowszechniony w całej Europie centralnej. Licząc się z tą właśnie rozległością zasięgu naszego „efektownego motywu", Bystroń pozostawia nierozstrzygniętem pytanie, „czy owa pozłacana lub malowana szubienica jest tylko zwykłym motywem pieśniowym, czy też pozostaje w związku ze zwyczajem ozdabiania szubienicy" [7], natomiast za „niewątpliwy" pierwowzór pieśni Sabałowej poczytuje słowackie pieśni o Janosiku [8].

---

[1] Bunt Napierskiego, Lwów 1905 [2], str. 11 — Por. S. Zdziarski: Pierwiastek ludowy w poezji polskiej, Warszawa 1901, str. 536, 539.

[2] Na przełęczy, Lwów 1906 [2], str. 214.

[3] Legenda Tatr, Warszawa 1912, str. 305.

[4] Bajeczny świat Tatr, Warszawa 1905, str. 58. Warjant u A. Slopki w „Materjałach do etnografji Podhala". (MAAE. III. 101).

[5] Lud XVI. 197.

[6] Kraków 1905 (odb. z PMKA).

[7] j. w. str. 93.

[8] j. w. str. 91.

Uznając w zupełności duże prawdopodobieństwo obydwu tych wniosków, radbym jednak zwrócić tutaj uwagę na parę faktów pochodzenia literackiego, które na dzieje motywu rzucają nieco inne światło, i może do ustalenia jego genezy w pewnej mierze się przyczynią.

2. L. SIEMIEŃSKIEGO „NAPIERSKI". Punkt wyjścia stanowi dla mnie interesująca a nieco zagadkowa [1] ballada Lucjana Siemieńskiego „Napierski", której podtytuł „z podania" świadczy, że nie jest ona płodem inwencji samego poety. W balladzie tej nieszczęsny obrońca Czorsztyna nietylko że nie ginie na palu, jak w powieściach Rapackiego, Tetmajera i Orkana, oraz w dramacie Kasprowicza kończącym się wizją strasznej śmierci, ale nawet nie ginie wogóle, w chwili bowiem egzekucji spieszą mu z odsieczą górale od strony Tatr, ku którym Napierski Tetmajera i Orkana nadaremnie wysyła rozpaczliwe spojrzenia [2]. Autor jednak „Rysów górali tatrzańskich", bardzo zresztą powierzchownie z folklorem tatrzańskim obeznany, zmienił w balladzie nietylko przebieg i rezultat egzekucji, nietylko zastąpił w niej pal szubienicą, ale nawet scenę stracenia Kostki przeniósł z Krzemionek na rynek krakowski.

Na rynku w Krakowie Wesoła muzyka,
Prowadzą katowie Herszta rozbójnika.
Na rynku w Krakowie Ze stryczkiem kat czeka,
„Pij, kumie, na zdrowie, Bo droga daleka",
„Nie będę pił wina, Choć w złotej dasz szklance,
„Wysoka drabina, Zagram na multance".
I wysłał z niej głosy Po niwach, po wodach,
Otrząsnął łzy rosy Na kwiatach, jagodach.
„Już szczeblów połowę, Zadzwonię w multankę,
„Nim katu dam głowę, Pozdrowię kochankę".
I zadął jak z rogu Na sioła, na bory...
„Drabina się kończy, Niech zagram raz jeszcze,
Nim śmierć mię rozłączy, Z światem się popieszczę".
I zagrzmiał w głos gruby, Jak organ brzmi farny,
Aż zrywał z chmur czuby, Aż nastał dzień czarny.

Wybucha nagle gwałtowna burza, kat nie może dojrzeć swej ofiary, na rynek wpada „stu junaków", rozpędza straż, odbija „herszta".

Kat, zwykle co wiesza, Sam został na smyczy,
Przedmieścia zgorzały, Człek struchlał rycerski,
A Tatry zagrzmiały: „Niech żyje Napierski!".

Cały układ ballady dowodzi zupełnie wyraźnie dwu rzeczy, tego że Siemieński niezbyt dobrze orjentował się w historji Napierskiego, oraz że, jak już poprzednio zaznaczyłem, pomysł egzekucji, przerwanej przez odbi-

[1] Ballada pojawiła się w „Poezjach", Poznań, Żupański, 1844, str. 189 — 192, z notą którą przytaczam dalej w tekście; przedruk, bez noty, mają „Rapsody historyczne i liryki", w 2 tomie „Skarbczyka poezji polskiej", Petersburg 1853, str. 75 — 7. W wydaniu zbiorowem „Dzieł", Warszawa 1882, IX. 113 nosi ona tytuł „Opryszki"; nazwisko Napierskiego zniknęło w niej zarówno w tytule jak w odpowiednio przerobionym wierszu końcowym. Zmianę tę wytłumaczyćby można tem, że Siemieński, zapoznawszy się z dziejami Jana Kazimierza, spostrzegł rozbieżność historji i podania, a może, ze względu na związki Kostki z Chmielnickim, nie chciał apoteozować zdrajcy.

[2] Moda na motywy tatrzańskie sprawiła, że dziejami Napierskiego, spopularyzowanemi przez „Szkice historyczne" Kubali, zajęli się powieściopisarze i dramaturgowie, W. Rapacki („Grzechy królewskie", 1886, wyd. drugie, Kraków 1906, ma tytuł „Kostka Napierski"), Kasprowicz („Bunt Napierskiego". 1899, wyd. II (tytułowe?) 1905). K. Tetmajer (w „Marynie z Hrubego" i fragmencie dramatycznym), wreszcie W. Orkan („Kostka Napierski", 1925).

cie skazańca, oparł na wątku tradycyjnym. Na poparcie poglądu pierwszego przytoczyć można dopisek do ballady, w pierwszem jej wydaniu, głoszący ni mniej ni więcej tylko że „Napierski czyli Kostka (!) za panowania Władysława IV (!) zamknął się był w Czorsztynie na czele zbuntowanych górali. Zniesiony przez oddział biskupa Gembickiego, dał gardło w Krakowie". Co do sprawy drugiej, motyw uratowania się skazańca od śmierci przy pomocy muzyki jest znany od czasów prastarych,[1] od Herodotowego podania o Arionie (Hist. 1. 24). Pojawia się on w sagach północnych o Gunnarze, który, podobnie jak Derwid Słowackiego, grą na harfie czaruje węże, znają go również bajki ogólno-europejskie o cudownej piszczałce, zmuszającej wykonawców wyroku do tańca. Literacko został on wyzyskany w średniowiecznym eposie o Huonie z Bordeaux, ocalonym od śmierci dzięki cudownemu rogowi Auberona, eposie, spopularyzowanym w czasach romantyzmu przez poemat Wielanda „Oberon". W zakresie tych właśnie utworów szukać należy źródła ballady Siemieńskiego.

3. ŁACIŃSKI „MARCHOŁT". Jest niem, jak się zaraz okaże, jedna z średniowiecznych wersyj ogólno-europejskiego romansu o Marchołcie i Salomonie. Wersja ta różni się od powszechnie znanej, u nas przez Jana z Koszyczek przetłumaczonej, tem, że zawiera, oprócz wyliczenia figli, przez sprytnego błazna Salomonowi spłatanych, dzieje niewiernej żony króla jerozolimskiego. Salomonida, jak niektóre redakcje romansu ją zową, pozwala się uśpić „królowi pogańskiemu", poczem ten wykrada ją z grobowca i uwozi do swego kraju. Marchołt, który w całej sprawie wietrzył podstęp, oświadcza się Salomonowi z gotowością odzyskania żony. W tym celu przebiera się za kupca i na czele trzech oddziałów wojska spieszy za królową. Pozostawiwszy wojsko pod miastem, udaje się do świątyni i dokonywa identyfikacji Salomonidy; królowa jednak poznaje go w przebraniu i domaga się jego śmierci.

„Pojmanego na rozkaz królewski Marchlanda wiodą do pałacu. Król rzecze k niemu: „Obierz sobie, jaką śmiercią chcesz zginąć, żyć bowiem żadną miarą nie możesz". Marchlandus: „Proszę, aby mi wystawiono nową szubienicę, bym był obieszon". A gdy już szubienicę wzniesiono, Marchlandus rzecze: „Uczyń mi, jakobyś uczynił sobie samemu, bom ci i ja jest z rodu królewskiego. Albowiem królowie, wedle prawa, winni ginąć obieszeni na szubienicy wyzłoconej". Rozkazał tedy król szubienicę wyzłocić.

A gdy już tedy Marchlandus był wiedzion k szubienice, prosił, iżby mu król dozwolił zagrać na rogu dla zbawienia duszy jego. Albowiem miał on róg mały lecz głośny. Król na prożbę jego zezwolił. A gdy już Marchlandus wstąpił na pierwszy szczebel drabiny, zagrzmiał raz pierwszy na rogu. I oto hufiec w czarnej barwie z gwałtownym hukiem zbiegł z góry. Król, ludzi ujrzawszy, rzekł do Marchlanda, coby to było. „Marchlandus: „Djabli kwapią się po moją duszę". Królowa zaś, skoro hufiec ujrzała, pospieszyła do króla i rzekła: „Przecz czynisz źle samemu sobie? I czemu nie dasz obiesić go co rychlej?" A gdy Marchland był na szczeblu drugim, zagrzmiał powtóre, i oto hufiec barwy czerwonej wypadł zawodem. Król zasię spytał, coby to było. Marchlandus: „Ogień piekielny przyszedł, by mię spalił, bom ci jest grzesznik wielki". A gdy już Marchland potrzecie zatrąbił, oto hufiec barwy białej wypadł gwałtownie. A gdy król go ujrzał, zapytał Marchlanda, coby to było. Marchlandus rzecze: „Zmiłował się nademną Bóg i posłał anioły swe, iżby sąd nademną i djabły uczynili". A to wszystko Marchland powiedział królowi, iżeby hufce mogły prędzej go wybawić. Hufce tedy, dopadłszy, pojmały króla i obiesiły, Marchlanda zaś rozwiązały i wyzwoliły. Marchlandus zasię, jąwszy królową i nos wraz z wargami jej obciąwszy, królowi ją ofiarował. Król Salomon napotem wyniósł Marchlanda ku czci wielkiej".

[1] Bolte-Polivka: Grimm-Anmerkungen, II. 501—3.

Opowieść o przygodzie Marchołta z niewierną królową, znana w wersjach rosyjskich i niemieckich, zachowała się również w redakcji łacińskiej, przyczem, co ciekawsza, rękopisy łacińskie spotyka się tylko w Polsce [1]. Z jednego z nich właśnie, przechowanego w Bibljotece Jagiellońskiej, przytoczyłem zakończenie opowiadania w przekładzie, uwalniając się w ten sposób od szczegółowego zestawiania tekstów, już bowiem na pierwszy rzut oka widać, że opis egzekucji Napierskiego w balladzie Siemieńskiego jest swobodną, ale wcale wierną reprodukcją przygody Marchlandusa, jak brzmi imię pomocnika Salomonowego w kodeksie jagiellońskim.

Pozostaje jeszcze do rozstrzygnięcia wątpliwość, skąd Siemieński znał ów motyw, trudno bowiem przypuścić, by mógł on czytać rękopis krakowski, jakkolwiek zresztą zbiorami Bibljoteki Jagiellońskiej, a przynajmniej sławną „Księgą Twardowskiego" interesował się wcale żywo. Nie mogąc dać na to odpowiedzi pewnej, można pokusić się o hipotetyczną przynajmniej, przyjmując, że istniało podanie ludowe o Napierskim, przypisujące nieszczęsnemu „królewiczowi" ocalenie, wzorowane na przygodzie Marchołtowej. Innemi słowy, przyjąć można, że przypisek Siemieńskiego, wskazujący na podanie jako źródło ballady, istotnie nie mija się z prawdą.

5. PODANIE O NAPIERSKIM. Za przypuszczeniem tem przemawia poniekąd sprawa, od której rozpocząłem rozważania w szkicu obecnym, a więc popularność motywu złotej szubienicy w naszych pieśniach zbójnickich. W pieśniach tych wydaje się on tematycznie czemś przypadkowem, czemś, co zresztą psychologicznie wytłumaczyć łatwo, jeśli się pamięta specyficzny stosunek górala do szubienicy, najdobitniej sformułowany w powiedzeniu Sabały: „Ale na subienicy wisieć to ta honorna rzecl bo tam dziadów nie wiesajom ino chłopa" [2]. Dodać zresztą należy, że stosunek ten opierał się na dobrej tradycji, szubienica bowiem, ohydne i hańbiące dzisiaj narzędzie śmierci, była przecież przez całe wieki powszechnie akceptowaną instytucją społeczną, zdobiącą wejście każdego większego miasta. Wystarczy przejrzeć byle zbiór powiastek średniowiecznych, takie „Gesta Romanorum" czy ilustrowanego „Poncjana", by dowodnie się przekonać, że śmierć na szubienicy nie hańbiła bynajmniej osobnika, ginącego na „trzech drewnach". Dowodzi tego również Marchołt, żądający złoconej szubienicy, „wedle prawa" należnej potomkowi, choćby niezupełnie legalnemu, króla Dawida [3].

Jeśli więc nie jest rzeczą przypadku, że Siemieński swemu „hersztowi", skazanemu na szubienicę, nadał nazwisko Kostki Napierskiego, jeśli więc istniała tradycja o powieszeniu młodzieńca, w którego żyłach płynęła krew Wazów, to problem przypisania temu potomkowi królewskiemu śmierci na złoconej szubienicy, przedstawiałby się, w związku z powieścią o Marchołcie zupełnie jasno. Przyjąćby mianowicie można, że echa egzekucji na

[1] Tekst łaciński wydrukował, z rkp. Bibl. Jag., Nr. 554, W. Benary w wyd. „Salomon et Marcolfus", (Samml. Mittellat. Texte), Heidelberg, Winter, 1914. Przekład niemiecki w A. Wesselskiego: „Märchen des Mittelalters", Berlin 1925 (nr. 8: Salomons untreue Gemahlin).

[2] Wilkiewicz, l. c.

[3] Warto może wspomnieć tutaj analogiczny koncept, przez Rzewuskiego (w „Pamiątkach Soplicy") przypisany staroście Kaniowskiemu, przez S. Baracza („Bajki, Fraszki"... Lwów 1886, fac. „Araburda") wojewodzie Ostrorogowi; magnaci ci posiadali na podwórzu słupki do wiązania koni, dla każdego stanu gości odmienne; słupek szlachecki był złocony lub miał złote kółka.

Krzemionkach przekształciły się w podanie, dzisiaj zaginione, podanie, które wyzyskał Siemieński, a które, w postaci motywu szczątkowego, zachowało się w pieśniach zbójnickich.

Przyjmując istnienie takiego podania, łatwo wyjaśnić jego metamorfozę w pieśni Sabałowej i innych, pokrewnych. Uzasadnienie wyzłoconej szubienicy pochodzeniem delikwenta z rodu królewskiego, z biegiem czasu, zatarło się, ustępując miejsca racjonalistycznemu wytłumaczeniu motywu, wprowadzającemu dukaty i talary, szczodrą dłonią rozrzucane przez legendarnych harnasiów w karczmach słowackich lub zakopywane w kotlikach po dolinach górskich.

Z punktu widzenia literackiego łatwo również zrozumieć powodzenie tego istotnie efektownego motywu. Pisarze nasi poczytywali go za znamienny przejaw fantazji góralskiej. Janosikowej hojności, tak znamiennej dla charakteru górala, a tak bliskiej rasowemu rozmachowi Ossolińskich i... Kordjanów, każących kuć konie złotemi podkowami ku podziwowi i uciesze gawiedzi włoskiej. W obydwu wypadkach, w poezji ludowej i jej transkrypcjach literackich pozostało estetycznie cenne wyrażenie metaforyczne, choć sens jego właściwy poszedł w zapomnienie.

Ryga. *Juljan Krzyżanowski.*

M A T E R J A Ł Y

LIST RYSZARDA BERWIŃSKIEGO Z DROGI DO TURCJI W 1855 R.

Wojna krymska obudziła nowe nadzieje Polaków; w walce Turcji przeciw Rosji nie mogło zbraknąć oręża polskiego. Wystąpienie oddziałów polskich miało być nietylko zadokumentowaniem żywotności i praw narodu do niepodległości, — istniały również plany wywołania powstania przeciw Rosji na Rusi, wkroczenia do kraju z bronią w ręku. Zarówno jen. Wysocki, jak Sadyk-Pasza czy jen. Zamoyski, mimo oparcia się na różnych ugrupowaniach emigracyjnych czy to na Kole Polskiem w Paryżu, czy na Hotelu Lambert, działali w tym samym kierunku tworzenia bojowych jednostek polskich na terenie Turcji. Liczni emigranci podążyli na Wschód. Za innymi, tymże szlakiem, pociągnął i Ryszard Berwiński. Wywarł on następnie wpływ na Sadyka, usiłując zbliżyć go z demokratami w r. 1855 [1]. Po przyjeździe, przydzielony do sztabu Czaykowskiego, pozostawał tam Berwiński do końca 1856 roku, następnie zaś przeszedł do pułku dragonów, formowanych po ukończeniu wojny krymskiej z części jazdy zlikwidowanej wówczas dywizji Zamoyskiego [2].

Podczas długiej czterotygodniowej podróży na statku wojennym francuskim, dążącym z Tulonu do Konstantynopola, pisał poeta do matki do Poznania list poniższy. Jest on ciekawą relacją trudnej żeglugi, pozatem rzuca pewne światło na nastrój osobisty poety w tym czasie. List pochodzi ze zbiorów rękopiśmiennych, dotyczących Ryszarda Berwińskiego i jego rodziny, pozostających w posiadaniu rodziny pp. Mizerskich; za udzielone mi prawo publikacji korespondencji poety, składam W.Sz.Państwu Mizerskim z Poznania i Warszawy gorące podziękowanie.

Poznań. *Zofja Strauchowa.*

---

[1] Por. odnośne wyjątki z listów Brzozowskiego (znajdujących się w zbiorach Muzeum Rapperswilskiego) do Elżanowskiego z dn. 26. XI. 1855 r., oraz do Mierosławskiego z dn. 3 .XII. tegoż roku, cytowane przez dr. Wisławę Knapowską w pracy: Kandydaci do tronu polskiego w czasie wojny krymskiej. Poznań. 1927, na str. 58.

[2] Na podstawie korespondencji poety.

Na pokładzie francuskiej fregaty Ulm d. 19 Lipca 1855. Na wysokości wyspy Negroponte.

Moja Matko kochana! Ten list odbierzesz Matko dopiero z Konstantynopola, ale ja go pisać zaczynam już na morzu, a to głównie dla tego, żeby w Konstantynopolu ani jednej chwili po przybyciu na pisanie nie tracić, kiedy oto i tak czas mego przejazdu nad wszelkie przedłużył się spodziewanie. Z tej też jedynie przyczyny i list ten daleko później dojdzie do Poznania, niż to zapowiedziałem, wyjeżdżając z Tulonu. Chciałbym go przeto w czasie przeprawy już tak dalece napisać, że stanąwszy w Konstantynopolu dodam tylko parę słów i zaraz pierwszego dnia postaram się, żeby mógł być wyprawiony, boć ja wiem, mój Boże, jak niespokojnie schodzi kochanej Matce każdy dzień bez wiadomości od tego niedobrego Syna, który ją porzucił. Już to tam Matuchna strachasz się niebezpieczeństwami, które mnie na morzu otaczają. Wystawiasz sobie może nawet, żem w nich zginął. Ja tymczasem dotąd niebezpieczeństwa żadnego nie doznałem, ale za to nudów i niewygód tem więcej. — Nie doznałem niebezpieczeństwa i nie doznam go przy boskiej pomocy w czasie żeglugi. Płynę albowiem na jednym z większych statków wojennych, jakie dziś Francja posiada. Nazywa on się: Ulm; ma 100 dział, 1300 majtków i ekwipażu, prócz 200 osób przewoźnych, a ładowny jest prochem, bombami i amunicyą. Pędzi go zaś parowa machina o sile 600 koni za pomocą śruby, a obok tego i żagle. Jestto albowiem okręt mięszany, czyli parowy i żaglowy zarazem. Zdawaćby się powinno, że przezto i bezpieczniejszy jest i pewniejszy. A jednak rzecz się ma całkiem inaczej. Rachowano bowiem w porcie, że skoro statek ten nowo zbudowany, dwóch sił skombinowanych użyć będzie mógł do nawigacji, przeto też więcej i dźwigać i ciągnąć powinien. Obładowano go przeto, co można było najwięcej i przyczepiono do niego inne jeszcze trzy statki, obciążone armatami. Miał on je własną swoją siłą ciągnąć, czyli remorkować. Jakoż i ciągnął je, póki mógł — t. j. właśnie trzy dni. Ale już trzeciego dnia po południu zepsuło się coś w machinie. Trzeba ją było naprawić i zawinięto d. 3 Lipca pod wieczór do portu sycylijskiego miasta Messyny. Nazajutrz wypłynąłem łódką na ląd i tu po raz pierwszy ujrzałem ziemię Włoską i Włochów. — Ziemia, kraj i niebo prześliczne — ale lud, aż strach spojrzyć, jaki biedny i brzydki. W tej porze roku, kiedy upały już w tym kraju są nieznośne, widać za dnia na ulicach tylko żebractwo uprzykrzające się w łachmanach i dobrze ubranych księży. Świat porządniejszy wychodzi i wyjeżdża tu na ulice podobno dopiero wieczorem, ale ja go wcale nie widziałem, bo wieczorem trzeba było wracać na statek i dusić się przez noc na niskiem piętrze pierwszej pod pokładem bateryi; choć prawdę powiedziawszy, jest to jeszcze jedna z lepszych kwater, jaką mi wyznaczono, bo jest to kwatera oficerska. Mam przynajmniej łóżko z płótna wiszące, czyli hamak, w którym zupełnie dobrzeby się spało, gdyby nie upał zabijający. Już się jednak i do niego dziś przyzwyczaiłem.

W porcie Messyńskim staliśmy trzy dni, w czasie których starano się machinę naprawić. D. 6 Lipca wypłynęliśmy wreszcie na morze jońskie; ale już nazajutrz rzucono na pełnem morzu kotwicę, żeby znowu machinę naprawiać, poczem płynęliśmy dwa dni bez przerwy. Na dłuższą jednak żeglugę siła i konstrukcya nieszczęśliwej naszej machiny nie wystarczała. Dnia 10 Lipca zawinęliśmy przeto znów do portu wyspy Milo na Archipelagu greckim, gdzieśmy stali aż do 14 Lipca z niewielką pociechą całego ekwipażu. Bo wyspa Milo, to skała naga i nieurodzajna. Ma wprawdzie 3½ Mili kwadratowej, ale tylko 2000 mieszkańca. Ja codziennie przewoziłem się ze statku na ląd i odwiedzałem wyspę to na maleńkich konikach, to na mułach, które się drapią po skałach, jak koty. Pierwszy raz tutaj ujrzałem Grecyą i Greków i zajmowałem się dużo obserwacyą ich zwyczajów i charakteru. Byłem na jednem weselu greckiem i na polowaniu. Nudził mię jednak ten pobyt mimowolny na skale i bardzo byłem kontent, kiedyśmy nareszcie d. 14 rano wypłynęli z portu. Żegluga przecież nasza i tą razą nie miała być długa. Już bowiem około godziny 3 z południa znów się coś w machinie popsuło, a co gorzej i morze poruszyło się znacznie. Statek nasz, choć to taki ogrom, począł kołysać się i bujać. Kilku z moich kolegów dostało choroby morskiej, ja zaś na własne podziwienie byłem zupełnie zdrów; nie wiem jednak coby zemną było później, gdybyśmy nie byli pod wieczór wrócili znów do portu Milo, co się stało z powodu zupełnego uszkodzenia naszej machiny. Reparacya jej wymagała dłuższego czasu. To też mówiono nam, że w Milo przynajmniej 2 tygodnie zabawimy. Ale kiedy się pokazało, że i ten czas nie byłby wystarczył na potrzebne wyporządzenie, więc zostawiając machinę parową jak była, postanowiono puścić się dalej samemi żaglami. Jakoż dnia 17 wypłynęliśmy po raz drugi z portu Milo i dwa dni znowu znajdujemy się na morzu, ale posuwamy się powoli, jak żółwie. Zrobiliśmy dotąd zaledwie 15 mil morskich, bo wiatr mamy ciągle przeciwny. Jeżeli go Pan Bóg nie obróci, to dopiero za 5 dni będziemy w Dardanellach, zkąd wypłyniemy na morze Marmora, a potem

dopiero do Stambułu. Zanim tam staniemy minąć jeszcze może 10—12 dni. Przygotowany też jestem na to, że miesiąc cały będę na morzu, co mnie wcale nie cieszy, bo woda co dzień gorsza i mięso, którem mnie pasą, co dzień bardziej słone. Narzekać przecież nie myślę i nie chcę, bo jem lepiej, jak 1450 ludzi na naszym statku. Mam bowiem stół oficerski i jem razem z oficerami; a potem nikt mnie do tej podróży nie przymuszał; sam ją sobie wybrałem i jadę dobrowolnie. Jak sobie więc pościelę, tak się i wyśpię. Nie ma już o tem co gadać, ani nawet co myśleć. — To też nie ta lecz inna myśl więcej i częściej mnie trapi! Co się tam dzieje z Wami, moi drodzy? Kiedy ja znowu usłyszę co o Was! A druga Mama, czy żyje? Czemuż ona mnie zostawiła i w świat puściła bez wiadomości o sobie? Jakiś dziwny dla tego wywiózłem niepokój ze sobą i jakąś w duszy próżnią której pewnie nigdy zapełnić nie zdołam.

Jeżeli ona jeszcze żyje, ta Matka moja druga — to ja rączki jej całuję i ściskam ją serdecznie.

Dnia 21 Lipca

Żegluga nasza bardzo powolna. Wiatr mamy ciągle niepomyślny i płyniemy w zygzaki. Dlatego też i dziś znajdujemy się dopiero przy wejściu do Dardanellów naprzeciw brzegu Azyatyckiego, w miejscu, gdzie starożytna znajdowała się Troja. Będę chciał niewyraźne już dzisiaj jej ruiny odwiedzić, a czas do tego pewnie się znajdzie, bo kto wie, czy tu i sześć dni nie będziemy stali, czekając pomyślnego wiatru, ażeby wpłynąć w Dardanelle, których żaglami przebyć nie można przy wietrze przeciwnym. Zależy więc dalsza nasza żegluga najzupełniej od woli Pana Boga, a mnie to życie zamknięte w klatce już i nudzić i nużyć zaczyna. Wszakże to już 20 dni znajduję się na statku, gdzie nie można mieć tych wygód, co na lądzie. Trzeba jednak uzbroić się w cierpliwość. Toż to najmniejsza przeciwność i przykrość, jakie mnie jeszcze czekają. Bynajmniej się też nią nie zrażam i tylko Boga proszę, żeby mi nigdy gorzej nie było! Radbym jednak był już w Stambule i wiedział, co dalej z sobą pocznę.

Ściskam was wszystkich na dzisiaj i łasce Boskiej poruczam!

Dnia 25 Lipca, na wysokości Galipoli.

Otóż nareszcie dzisiaj przepłynąłem Dardanelle; ale i to zaledwie, bo wpół drogi znów się coś w naprawionej machinie zepsuło. To mi odbiera wiarę w dalszą żeglugę i choć od Konstantynopola oddalony jestem zaledwie o godzin 12, — choć sam komendant statku mówił mi wczoraj na obiedzie, że jutro staniemy u celu podróży, ja tak mało temu ufam, iż dziś jeszcze wolę pisać, nie będąc zgoła pewnym, jak długo jeszcze podróż nasza przeciągnie się. Ale cóż Matuchnie drogiej będę pisał? — Gdyby o ciekawy jaki chodziło artykuł, miałbym wiele i bardzo wiele do pisania. Mamie jednakże powiem tylko to, co najciekawszego widziałem w Dardanellach i nad czem dzisiaj najwięcej i najboleśniej dumałem sercem. Oto w Dardanellach jest miejsce tam, gdzie one szerokie może milę, w którym na lądzie Azyatyckim znajduje się o s a d a A b y d o s, na Europejskim S i s t o s. Miejsce to z wielu innych miast sławne, największą po dziś dzień sławą ma przez to, że tu niegdyś w dalekiej starożytności Leander przepłynął z Azyi do swojej kochanki Hero, która na brzegu Europejskim w wieży kamiennej mieszkała, a wywieszała co wieczór kochankowi swojemu lampę, za której światłem on się kierował, w pław przebywając cieśninę. Otóż jednego wieczora zapomniała latarni wywiesić. Leander w ciemnościach zabłądził na morzu, a nie mogąc szczęśliwego znaleść brzegu, utonął!

Tak to miłość od niepamiętnych czasów, pobudzała ludzi do szaleństw, w których marnie ginęli!

Nic więc pod słońcem nowego — moja Matko droga! A ten Leander, cóż to za śmiertelnik był szczęśliwy! Rzucał się w morze i płynął z nadzieją, że tam na drugim brzegu znajdzie swój raj! — A ja — a ja, mój Boże — i cóż ja znajdę, jak jutro szczęśliwie do brzegu przybiję?

Nie warto o tem dłużej już i myśleć. Bywajcie mi zdrowi, moi drodzy i kochajcie mnie zawsze.

Konstantynopol, dnia 4 Sierpnia.

Jestem nareszcie już i w Konstantynopolu — a jestem tu od dni 8. Dziś jednak dopiero list ten kończe — jutro go oddaję na pocztę ale wyjdzie ztąd dopiero w poniedziałek. Przyczyną tego opóźnienia się z mej strony jest głównie to, że nie zastałem tu

już Pana Zamojskiego [1], co niezmiernie utrudziło mi dalszą moją drogę i wybór tej, którą pójść chcę. Trzeba bowiem było samemu rozpatrzyć się w miejscowych tutejszych stosunkach, w które Pan Zamojski byłby mię od razu wtajemniczył. To zabierało dużo czasu. Potem trzeba znów było samemu wszędzie dotrzyć, co przy ogromnych tu panujących upałach, szkaradnym bruku i odległościach tak mnie znów męczyło, że kiedym wieczorem wrócił do domu, to już i sił do pisania nie było. Dziś zbieram ich ostatek, żeby Matuchnie donieść, że wreszcie dzisiaj zdecydował się mój los, przynajmniej na tę chwilę. Jutro z Konstantynopola statkiem parowym wyjeżdżam. Dokąd?... To przecież wszystko już prawie jedno i Wam i mnie. Tylko Matuchna nie miej o mnie kłopotu. Wyjeżdżam pod opieką 55 ludzi, którzy w razie potrzeby bronićby mnie musieli i pod zasłoną czerwonego fezu z tyftelikiem, który dziś mi dano. Co zaś taki fez znaczy, to Mamie u Państwa Działyńskich [2] może wytłomaczą i pewnie Mamie powiedzą, że możesz o mnie być spokojną. Tylko co najgorzej, moja Matko że teraz może jeszcze dłużej jak tą razą listu odemnie nie odbierzecie. Ja tego nie wiem; ale tak być może.

Niech Was przeto dłuższe moje milczenie nie dziwi. Jak tylko okoliczności pozwolą — napiszę.

A teraz poruczam Was łasce Najświętszego i opiece tej Matki Boskiej, której wizerunek noszę na piersiach. Bądźcie mi zdrowi — moi drodzy, — bądźcie zdrowi! Ściskam obiedwie moje Matuchny! Serca Wasze będą dla mnie najlepszym puklerzem.

R. W. Ber.

DOPEŁNIENIA „BIBLJOGRAFJI PAMIĘTNIKÓW POLSKICH"

Świeżo przez Stanisława Wasylewskiego ogłoszony (RL VI, 5), bogaty snop dopełnień do „Bibljografji pamiętników polskich" E. Maliszewskiego dał mi pohop do powiększenia tego spisu jeszcze trzema pozycjami, zaczerpniętemi z archiwów i literatury bieżącej Związku Radzieckiego.

1. Juljan Lubliński, wołyniak, jeden z założycieli „Towarzystwa Zjednoczonych Słowian", które było w ścisłym związku z dekabrystami rosyjskimi i którego członkowie po nieudanym zamachu tych ostatnich w Petersburgu w grudniu 1825 r. byli pociągnięci przez Mikołaja I do odpowiedzialności i osądzeni przez sąd wojenny. Sprawa Lublińskiego doczekała się już należytego wyświetlenia w kapitalnej publikacji wielotomowej Archiwum Centralnego („Centrarchiv") w Moskwie, poświęconej specjalnie calemu ruchowi dekabrystów i ich dziejom. Tom piąty tego wydawnictwa (Moskwa, 1926), przygotowany do druku przez wilnianina Mikołaja P. Čulkova, właśnie zawiera historję owego „Towarzystwa Zjednoczonych Słowian" i jego głównych działaczów.

Ale oto niedawno nieoczekiwanie wypłynęły na widownie nowe dane o osobistości Juljana Lublińskiego, a mianowicie własnoręczny jego pamiętnik w języku polskim, przynoszący nieznane dotąd szczegóły biograficzne, snadź umyślnie przez autora skrywane podczas indagacyj sądowych.

Chodzi tu o rękopis, zapełniający cztery stronice dużego arkusza papierowego i zatytułowany „Pamiętnik r. 1829 d. 12 Lipca", który w czasie najbliższym będzie opublikowany przez wyżej wspomnianego M. P. Čulkova. Pamiętnik odnaleziono w archiwum rodzinnym Eugenjusza I. Jakuškina, syna znanego dekabrysty i gorliwego zbieracza wszelkiego rodzaju materjałów i przyczynków do historji dekabrystów, który to zbiór nabył związek byłych katorżan politycznych w Moskwie. Przypuszczalnie pamiętnik Lublińskiego dostał się do zbiorów Jakuškina wraz z obszernem archiwum Borisowa, również wybitnego działacza „Towarzystwa Zjednoczoczonych Słowian".

Do autobiografji Lublińskiego wypadnie jeszcze powrócić, gdy ukaże się w druku in extenso. Na razie zaznaczę tylko, że Juljan Lubliński pochodził z Wołynia, wykształcenie średnie odebrał w Liceum krzemienieckiem, poczem wstąpił do Uniwersytetu Warszawskiego. Zbliżył się tu z Kalinowskim, uczestnikiem ruchu rewolucyjnego we Włoszech, i z tego powodu niemało ucierpiał.

---

[1] Berwiński minął się z Zamoyskim, który 8 lipca płynął już z Konstantynopola do Francji, aby stamtąd udać się do Londynu i prowadzić starania o utworzenie polskiej dywizji na żołdzie angielskim, oprócz istniejących już Kozaków Czajkowskiego, związanych bezpośrednio z Turcią. 24 września tegoż roku lord Panmure z polecenia rządu zakomunikował Zamoyskiemu zgodę na tworzenie nowej „dywizji kozaków sułtańskich". „Dywizja polska" Zamoyskiego istniała do 31 lipca 1856 r. (Por. Jenerał Zamoyski. Tom VI. Poznań 1930. Str. [illegible]).

[2] Jadwiga hr. Zamoyska, żona jenerała, była z domu hr. Działyńska (córka Tytusa); zarówno ona, jak i Działyńscy w Poznaniu nieraz pośredniczyli w korespondencji poety z rodziną.

2. Również od wołyniaka pochodzi drugi pamiętnik polski, w rękopisie przechowywany na terytorjum Rosji Sowieckiej, a pierwsza wiadomość o nim dopiero niedawno pojawiła się w druku. Mam tu na myśli „Dziennik" Franciszka Salezego Zaleskiego, będący obecnie własnością „Bibljoteki Centralnej im. Lenina" w Kazaniu, a o którego istnieniu informuje pomnikowe wydanie rosyjskie, opracowane z okazji 125-lecia istnienia Uniwersytetu Kazańskiego przez M. K. Korbuta p. t. „Kazanskij Gosudarstvennyj Universitet imeni V. I. Uljanova-Lenina za sto dvadcat' piat' lět 1804/5—1929/30" (Kazań. 1930 tom I str. 210, t. II str. 382. z ryc.).

Franciszek Salezy Zalewski urodził się na Wołyniu w Berezowiczach (pow. łuckim) w r. 1820, zmarł w Kazaniu w r. 1867. Jako student uniwersytetu w Kijowie został w r. 1839, po zamknięciu tej uczelni przeniesiony do Kazania w grupie 12 Polaków-stypendystów, gdzie też ukończył uniwersytet, najpierw jako prawnik, a później jako medyk, i od r. 1855 zajmował katedrę historji medycyny. Profesorem Uniwersytetu Kazańskiego był też syn Fr. S. Zaleskiego, a z jego archiwum dziennik ojca dostał się do miejscowej Bibljoteki Centralnej.

Informacje podane w dziele Korbuta o „Dzienniku" Zaleskiego, niestety, nie określają bliżej jego objętości i oznaczają tylko jego zakres chronologiczny, t. j. od 21-go kwietnia 1841 aż do 25-go września 1846. Co do treści, Korbut zaznacza, że tylko mała część „Dziennika" tyczy się samego Kazania i wspólnego tam życia. Wzbudza to oczywiście jeszcze większą chęć bliższego poznania zapisek polskiego studenta w Kazaniu, i miejmy nadzieję, że to się stanie możebne w niedalekiej przyszłości.

Szczególną przynętę rękopisu Franciszka Salezego Zaleskiego stanowi włączona weń znaczna ilość portretów, rysowanych ołówkiem i piórkiem, w których autor wykazuje dość biegły talent portrecisty-dyletanta. Uwiecznieni zostali po większej części studenci miejscowi, a między nimi i koledzy polscy z Kijowa, pozatem szereg wybitniejszych profesorów kazańskich. Wśród ostatnich zaciekawia zwłaszcza nieznany dotąd wizerunek znakomitego orjentalisty Józefa Kowalewskiego, byłego filarety i towarzysza Mickiewicza, reprodukowany w dziele Korbuta.

Korzystam z okazji, by wogóle zwrócić uwagę na przytoczone kazańskie wydanie jubileuszowe ze względu na znaczną ilość uczonych polskich, którzy wykładali w Kazaniu, w tym, w swoim czasie, najbardziej wysuniętym na wschód uniwersytecie o typie europejskim. Linja polska ciągnęła się tam od Józefa Kowalewskiego i drugiego jeszcze filarety Hilarego Łukaszewskiego, poprzez wielu innych, aż do Jana Baudouina de Courtenay, którego sylwetkę w monografji Uniwersytetu Kazańskiego skreślono w wyrazach nader ciepłych, i Wincentego Lutosławskiego. Nadmienię przytem, że w polskiej literaturze trzeci jeszcze filareta, a mianowicie Józef Jeżowski, niejednokrotnie figuruje jako profesor Uniwersytetu Kazańskiego, co zupełnie rozmija się z prawdą. Jeżowski nigdy w Kazaniu nie bawił, nazwisko jego prawdopodobnie zostało pomieszane z pokrewnem nazwiskiem historyka rosyjskiego S. W. Ješevskija, istotnie profesora kazańskiego. W monografji o Józefie Jeżowskim, przygotowanej przez prof. Wiktora Hahna, nieporozumienie to zapewne ostatecznie będzie wyjaśnione.

3. Do bliższej przeszłości przenosi nas trzeci pamiętnik polski, świeżo wydrukowany w książce Feliksa Kona p. t. „Sud nad partiej Proletariat" (Moskwa. 1931. wyd. „Moskowskij Rabočij" str. 77). Dany tu jest szczegółowy opis sprawy polskiej partji rewolucyjnej „Proletarjat" sądu wojennego nad jej członkami, jaki się odbył w Warszawie w r. 1884 i zakończył sześciu wyrokami śmierci i niezliczoną ilością lat robót ciężkich w Syberji dla reszty oskarżonych. Do tych ostatnich należał i niepełnoletni jeszcze Feliks Kon. Do wspomnień swoich z aresztu w X pawilonie Cytadeli warszawskiej i sądu autor dołączył i obszerną autobiografję, skreśloną w lutym r. b. i zapełniającą czwartą część książki.

Mamy tu barwny obraz umysłowej atmosfery warszawskiej rodziny polsko-żydowskiej, wśród której wyrósł Feliks Kon, stosunków w gimnazjum rosyjskiem, gdzie nauki pobierał, oraz przełomu w jego zapatrywaniach polityczno-społecznych. Następuje opis długich lat, spędzonych w Syberji i w znacznej części zapełnionych dociekaniami etnograficznemi aż do powrotu do kraju, pozatem historja dalszych peregrynacyj autora aż do chwili obecnej.

W pierwszej części pamiętnika Kon szczegółowo odtworzył sprawę warszawskich uczniów gimnazjalnych, którzy podczas występów Heleny Modrzejewskiej nie mogli się powstrzymać od złożenia hołdu wielkiej artysce w formie wieńca, co wielu z nich przypłaciło relegacją, a Ignacy Neufeld nawet życiem.

Moskwa. *Paweł Ettinger.*

R E C E N Z J E

Hoesick Ferdynand. GOETHE, i «najpiękniejsze dni» w jego życiu. 1814—1832. Studjum biograficzne. Warszawa. Trzaska, Evert i Michalski S. A. (1931) 8⁰ str. XX + 533.

Jeśli wziąć do ręki cenną i sumienną pracę Edmunda Kołodziejczyka, p. t. „Goethe w Polsce" (Kraków 1913), to łatwo przekonać się można, że Goethem stosunkowo mało zajmowano się w Polsce, że oddźwięk twórczości jego nie był nigdy wielki w społeczeństwie polskiem a także i nauka polska nie wykazywała żywszego zainteresowania się jego dziełami. Pisząc na ten temat na łamach „Ostdeutsche Monatshefte" (t. XI. r. 1930 str. 461), podkreśliłem, że Goethe był oczywiście naturze polskiej bardziej obcym niż Schiller i to pod każdym względem oraz że rozkwit popularności Goethego przypadł na czas, w którym w Polsce raczej wszystkie inne zagadnienia były aktualne, aniżeli czysto literackie i artystyczne.

Nie brak było oczywiście w Polsce i wielkich entuzjastów Goethego, znawców i miłośników jego poezji, którzy choć nie pisząc i nie tworząc, kult Goethego propagowali. W okresie, gdy na katedrze germanistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego zasiadał W. Creizenach a w Akademji Sztuk Pięknych wykładał jeden z najsubtelniejszych umysłów w Polsce, Konstanty Górski, podwaliny tego kultu w Krakowie były położone. Przejął się tem kultem żyjący wówczas w Krakowie i stawiający pierwsze kroki na niwie literackiej i naukowej Ferdynand Hoesick. Już dawniej dał wyraz temu swojemu entuzjazmowi, interpretując i tłumacząc przepiękne rzymskie elegje Goethego, teraz zaś wystąpił z obszerną książką, która opracowuje wyczerpująco pewien bardzo ciekawy a pod względem biograficznym niezupełnie dotąd zbadany okres życia Goethego.

Książka Hoesicka jest wyrazem gorącego umiłowania twórczości Goethego. Śledząc jeden z jej późniejszych a bodaj najpóźniejszych okresów udał się Hoesick na teren, gdzie zapłonęła ogniem wielkiego i pięknego uczucia po raz już prawie ostatni— a jednak nie ostatni! — miłość Goethego, to wielkie w jego życiu i twórczości uczucie, będące jedną z kształtujących mocy jego niepożytej energji duchowej. O roli i znaczeniu miłości w życiu Goethego pisano wiele a im więcej pisano, tembardziej się przekonano, że te przechodzące w siebie niby kolory tęczy miłosne stosunki a czasem i stosuneczki, były potrzebą życia twórczego, tego człowieka, który jak sam twierdził pozostawał w niem pod wpływem jakiejś nieokreślonej wewnętrznej mocy, jakiegoś — jak zwykł mawiać — „daimonion", względnie owej wielkiej bogini „okazji", na której cześć wyśpiewał jedną ze swych najpiękniejszych elegij.

Goethe chwalił się, że w latach sześćdziesiątych przeżywa okres, drugiej młodości, drugiej nadmiernej wrażliwości pod względem erotycznym. Nie należy sprawy tej ujmować z punktu widzenia patologicznego, jako objawu jakiejś starczej libido lecz upatrywać w tem należy raczej wyraz tej niepospolitej radości życia, chęci kształtowania go pięknego i stylizowania. Tkwiła na dnie tego uczucia raczej może potrzeba twórczego genjusza poszukującego nowych, bezpośrednich i silnych podniet.

Na temat młodości Goethego mamy dziś już bardzo wiele niezmiernie wielostronnych prac. Zagadnienie wielkiej epoki jego twórczości o charakterze klasycznym dzięki ostatnim pracom Stricha i Korffa zostało też już dość jasno i wyraźnie oświetlone. Najmniej stosunkowo opracowanym okresem życia i twórczości Goethego jest jego starość. Najgorszem jest, że na ten temat wytworzyły się i utrwaliły pewne „legendy", którym nawet tak samodzielny i obdarzony genjalną intuicją pisarz jak Gundolf nie zdołał się oprzeć. Dowodem tego, że wysunął i on jako cechę charakterystyczną tej epoki życia Goethego ideę rezygnacji. Jest w tym wiele racji, choć stwierdzić trzeba, że idea ta występuje już i przedtem w twórczości Goethego a walka pomiędzy chęcią wyżywania się a potrzebą rezygnacji stanowi jeden z zasadniczych choć nieraz utajonych motywów jego twórczości. Ale tak jak w młodości Goethego występuje już idea rezygnacji, tak też i w starości nie brak objawów tej chęci wyżycia się.

Żeby o tem się przekonać trzeba było sięgnąć do zaniedbanej dziś i pomiatanej w naukowym traktowaniu i rozpatrywaniu dzieł literackich metody czysto biograficznej, trzeba było iść w ślady poety, nietylko czytać jego listy, ale wczuć się w całą sytuację, zbadać niejako teren i wyczuć atmosferę. Zadania tego wdzięcznego choć żmudnego podjął się Hoesick, kreśląc w swojej książce dzieje miłości Goethego do Marjanny von Willemer z domu Jung. Była to aktorka i tancerka, którą poślubił

bogaty frankfurcki bankier J. J. von Willemer. Pewną ujmującą bezpośrednością w obejściu wywarła ona na ponad 60-letniego już Goethego bardzo silne wrażenie, ona zaś uległa fascynującej sile jego niezwykłej indywidualności. Ich spotkania, spacery i korespondencja owiane były czarem wielkiej, szczerej i prawdziwej poezji. Znalazła ona wyraz we wspaniałym cyklu lirycznym Goethego „Zachodnio-wschodnim dywanie", w którym opiewa swoją umiłowaną Marjannę, jako Zulejkę. Pozostawiła też ta miłość ślady w powieści względnie cyklu nowel Goethego p. t. „Lata wędrówki Wilhelma Meistra", ślady i odblaski, które Hoesick bardzo skrupulatnie uwydatnił i uchwycił.

Książka Hoesicka oparta na bardzo gruntownem opracowaniu źródeł, i silnej dokumentarycznej podbudowie, uzupełnionej autopsją, stanowi cenny przyczynek do epoki w życiu Goethego mało stosunkowo znanej, daje bardzo ciekawe i cenne tło kulturalne, wprowadzając nas w życie patrycjatu niemieckiego i inteligencji niemieckiej z początkiem wieku XIX, uwidaczniając przytem w sposób plastyczny na tym tle stosunek między życiem a twórczością Goethego w okresie przez biografów jego dość zaniedbanym. Czyta się z zainteresowaniem tę opowieść z płonącego jednak jeszcze żarem uczucia okresu zmierzchu życia wielkiego artysty i wielkiego człowieka.

Warszawa. *Zygmunt Łempicki.*

Brahmer Mieczysław. Problem renesansu we Włoszech współczesnych. Bibljoteka „Przeglądu Współczesnego" t. 2., Kraków 1931, Krakowska Spółka Wydawnicza. Str. 89 + 3 nlb.

Nie trzeba chyba długo a szeroko tłumaczyć przyczyn zainteresowania, jakie renesans włoski wszędzie i nie od dziś budzi. U nas — obok niezwykłego bogactwa i bujności quatro- i cinquecenta — istnieją jeszcze inne przyczyny tego zainteresowania: przecież na renesansie włoskim wychowała się i w znacznej mierze wzorowała Polska zygmuntowska, jemu też przedewszystkiem zawdzięcza ona osiągnięcie nieznanego przedtem poziomu kulturalnego. Dlatego też zdanie sobie sprawy ze współczesnego stanu wiedzy o odrodzeniu włoskiem, orjentacja w panujących obecnie poglądach na jego zasoby duchowe, nieobojętna dla nikogo, dla badacza kultury zygmuntowskiej jest zagadnieniem o znaczeniu wprost podstawowem, — oczywista, jeśli przyjmiemy, że badacz ten nie pojmuje swej pracy po przyczynkarsku, ale chce też zrozumieć opracowywaną przez siebie epokę.

Znajomość odrodzenia włoskiego ciągle jeszcze stoi u nas wyłącznie pod znakiem Burckhardta. Znakomita książka prof. Z. Łempickiego „Renesans, oświecenie, romantyzm" (1923) zaznajomiła nas z nowszemi, przedewszystkiem niemieckiemi pracami o renesansie [1], ale i po niej, doszukiwanie się śladów bezpośredniej znajomości tych prac w rozprawach, poświęconych kulturze zygmuntowskiej, byłoby zadaniem żmudnem i mało owocnem. Ostatnie zaś lata przyniosły w naukowej literaturze włoskiej szereg dzieł syntetycznych, obfitujących w nowe i śmiałe poglądy, niejednokrotnie rewolucyjne w stosunku do zapatrywań dotychczasowych, bądź też wprowadzające do tych zapatrywań daleko idące konjektury. Na to, obce starszej literaturze naukowej bogactwo prac syntetycznych obok powszechnego dziś głodu szerszych ujęć, wpłynął niewątpliwie ten ferment ideowy, jaki w kulturze włoskiej lat ostatnich wywołał faszyzm, dając—zwłaszcza w naszym wypadku — nowe punkty widzenia, i przez to zmuszając do zajęcia nowych stanowisk i do nowych ocen wartości zjawisk.

Krytycznemu omówieniu tych to nowych ujęć poświęcił doskonałą rozprawę dr. Mieczysław Brahmer, który już przedtem zarówno w starym „Petrarkizmie w poezji polskiej XVI w.", jak i w niedawno wydanej książce o „Włoszech w literaturze francuskiej epoki romantyzmu" dowiódł, iż nie obawia się problemów skomplikowanych i o szerszym zakroju. Pracę swą rozbił autor na sześć rozdziałów, przyczem przedstawiwszy w pierwszym z nich stosunek współczesnej nauki włoskiej do starszej, wychodzącej z założeń pozytywistycznych, a w ostatnim — aktualność pewnych pierwiastków renesansu w życiu kulturalnem Włoch współczesnych, ośrodkiem każdego z pozostałych uczynił omówienie jednego z zasadniczych problemów syntezy renesansu, przez co i praca sama zyskała na zwartości i przedstawione w niej zagadnienia na jasności i przejrzystości. Tak więc kolejno zreferowane zostały poglądy idealistów (Croce, Gentile, Saitta) na stosunek człowieka renesansu do natury i czynników transcedentalnych, poglądy — bardzo różne od dotychczasowych — ks. Olgiattiego i Zabughina na religijność renesansu oraz

[1] Pożyteczny przegląd prac niemieckich z lat ostatnich dał H. Baron w lipskiem „Archiv für Kulturgeschichte". Obok cytowanego przez autora omówienia z 17. t (1927) warto też zwrócić uwagę na obszerne sprawozdania z ostatniego 21 tomu (1930/31; str. 95 — 128, 215 — 239, 340 — 356), obejmujące sporadycznie i rzeczy nie-niemieckie.

Toffanina na stosunek humanizmu do Kościoła i na polityczne idee kontrreformacji. Omówiono wreszcie — najciekawszy to z rozdziałów książki — poszukiwanie nowych wartości w poezji renesansowej, przedewszytkiem rehabilitację szczerości jej liryki i nowe, zapoznane dotychczas lub nie docenione jej czynniki, jak pesymizm, patrjotyzm, motywy rodzinne.

W obrębie poszczególnych rozdziałów poszedł autor w układzie materjału za kompozycją prac tego typu prof. Wędkiewicza, rozbijając każdy z nich na dwie części, przyczem w pierwszej omawia zasadnicze poglądy opracowywanych dzieł, w drugiej zaś — wyróżnionej od pierwszej innym rodzajem druku, daje bogate wskazówki bibljograficzne — zawsze niemal z krótkiemi uwagami krytycznemi — i obszerniejsze a charakterystyczne cytaty. Dzięki takiemu to rozłożeniu treści nie wchodzi w drogę dyskusji nad podstawowemi problemami renesansu drugie z zadań książki — zorjentowanie czytelnika we współczesnej literaturze włoskiej o kulturze i literaturze odrodzenia. Drugim plusem takiego układu jest czytelność książki dla tych wszystkich, których informacje o charakterze bardziej „fachowym" nie interesują, czyli dla t. zw. czytającego ogółu.

Kraków. Wiktor Weintraub.

Łempicki Zygmunt. Fr. Gundolf. Warszawa 1931. s. 16. (Odbitka z czasop. „Neofilolog". T. II. z. 4).

W lipcu bieżącego roku zmarł w Heidelbergu profesor literatury niemieckiej, Fryderyk Gundolf, który szeregiem dzieł, wprowadzających zupełnie nowe i ożywcze pierwiastki do kultury germańskiej, zdobył sobie wprost sławę. Uczeń Fr. Schmidta, który nauczył go ścisłości i gruntowności w badaniu oraz dbałości o formę zewnętrzną w przedstawianiu wyników, następnie wyznawca Georgego, który wtajemniczył go w misterja twórczego ducha, Gundolf nie zawiódł swoich mistrzów, okazując w każdej swej pracy niezwykłość poczynania. Cechy oryginalne jego dzieł, poczynając od monografji poświęconej Goethemu, tkwią w zupełnie nowej postawie wobec zagadnienia naukowego, jako takiego, dalej w zupełnie nowem traktowaniu zagadnienia literackiego, następnie w zupełnie nowem oświetleniu postaci Goethego i romantyków, wreszcie w zupełnie nowych zdobyczach metodycznych. Te cechy gundolfowskich dzieł doskonale określa i wyjaśnia prof. Łempicki w krótkim i zwięzłym szkicu; w zakończeniu swych ścisłych wywodów zaznacza, że Gundolf „walczył o autonomję historji literatury, o jej metodyczną samodzielność i samowystarczalność, a obdarzony nadzwyczajną intuicją — śmiało rzec można, darem wizyjności, — skupił uwagę swoją na wielkich i potężnych twórcach życia literackiego, kreśląc z sugestywną siłą ich postacie, uniezależniając się zupełnie od pozytywistycznej teorji środowiska, rozpatrywał zaś te jednostki nie jako przetwórnie zewnętrznych podniet, ale jako pewne punkty skupienia energji duchowej, która promieniując i z jego dzieł, czyniła je nowemi i płodnemi ośrodkami twórczej myśli".

Warszawa. Bronisław Gubrynowicz.

Korbut Gabrjel. Literatura polska od początków do wojny światowej. Tom II. od wieku XVIII do r. 1820, wydanie drugie powiększone. Warszawa, 1929, s. 439.

Ukończenie niedawne czterotomowej „Literatury polskiej" prof. Korbuta jest w naszym świecie naukowym wydarzeniem ze wszech miar zasługującem na uwagę. By się uporać łatwiej z wielością nagromadzonego przez autora materjału, uwagi swe ograniczymy jedynie do tomu II-go „Literatury"; tom I-y został już na tych łamach oceniony wytrawnem piórem prof. Juljana Krzyżanowskiego (RL VI 3).

Główny zrąb konstrukcyjny tomu II-go nie uległ zmianie w wydaniu powiększonem. Podobnie usystematyzowano tu fakty — od wieku XVIII po r. 1820, — który rozpoczyna triumfalny pochód romantyzmu. Książka rozpada się na dwie części: pierwsza obejmuje czasy saskie, druga — piśmiennictwo pseudoklasyczne, r. 1750—1820 (a nawet 1830). Czasy saskie uszeregował autor w dwie kolumny: po prozaikach polskich i łacińskich idą polscy i łacińscy poeci. Wobec małego zróżniczkowania w literaturze tego czasu podział autora wydaje się i najprostszy i najodpowiedniejszy. Piśmiennictwo pseudoklasyczne rozbiór Polski przepołowił na okresy: czasy stanisławowskie tworzą zwartą literacką i estetyczną całość; literaturę doby porozbiorowej podobnież swoiście urobiły warunki polityczne i kulturalne. Wewnątrz okresów utrzymał autor zgrubsza ten sam podział: na prozaików i poetów.

Z układem chronologicznym krzyżuje się u prof. Korbuta zasada układu rzeczowego. Zasady chronologicznej nie można zachować konsekwentnie wobec braku nieraz podstawowych (np. w czasach saskich) danych biograficznych. Zresztą prof. Korbut nietylko gromadzi materjał, ale także wpro-

wadza doń pewne kryterja, grupuje, łączy, kreśląc w ten sosób linje rozwoju polskiej literatury.

W czasach stanisławowskich zostało w ten sposób wyodrębnione czasopiśmiennictwo epoki, dalej Komisja Edukacyjna, teatr — dramat, powieść, literatura polityczna; nadto w układzie rzeczowo - chronologicznym poeci, którzy tym razem poszli przed prozaikami. Klasyfikacja tego rodzaju wskazuje zgrubsza formy literackie wieku. W dobie porozbiorowej obóz klasyków gromadzi wszelkich zachowawców pióra; klasycy umiarkowani, o mniej jednolitej organizacji, stanowią lewicę estetyczną. Tendencje do układu rzeczowego skłoniły autora do wyodrębnienia grupy literackiej Puław, poezji legjonowej, Towarzystwa Szubrawców. Tendencje owe kazały także zgromadzić prof. Korbutowi wszystkich Krzemieńczan, wychowanków liceum krzemienieckiego, mimo że byli to ludzie różni, nie skupieni żadnym programem. Ale prof. Korbut pragnie wskazać w ten sposób na kulturalny wkład Krzemieńca do ogólnych narodowych zasobów, trudno zatem systematyzacji takiej nie przyklasnąć. To samo zrozumienie dla spraw kulturalnych widać także w specjalnem traktowaniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk: prof. Korbut umieszcza je na czele „Obozu klasyków", związanych ideowo silnie z Towarzystwem; sądzi wręcz, że cały ten okres można w literaturze nazwać „epoką Towarzystwa Przyjaciół Nauk", tu bowiem schroniła się ostatnia załoga pseudoklasycyzmu.

Zamykają tom wyodrębnieni osobno dwaj prekursorzy romantyzmu: rzecznicy ludowości — jeden w nauce, drugi w poezji: Chodakowski i Brodziński. To już jest pomost, rzucony do tomu III-go dzieła, to są już świty nowej epoki.

Oto konstrukcja tomu II-go oraz podstawy, na których ją wsparto. Trudno się nie zgodzić z autorem w jego rozumieniu przedmiotu; prof. Korbut chciał dać nietylko materjały bio - i bibljograficzne, ale i pewien schemat rozwojowy literatury. Dlatego też zapewne nie posłużył się układem alfabetycznym.

Taki jest zarys ogólny profilu tego tomu i taki jego kształt, najbardziej po wierzchu nakreślony. W szczegółach — wybaczy mi to czcigodny autor — możnaby podjąć niejaką dyskusję.

Chróściński, ów słowami Brücknera „najznakomitszy saskich czasów poeta", czy nie powinien znaleźć się w całości w tomie II-im, właśnie w tej saskiej literaturze, nie zaś wśród piśmiennictwa barokowego? Pewnie, o przydziale do tomu I-go zadecydowały względy chronologiczne, którym trudno przeczyć. Ale wszak układ rzeczowy, gdzieindziej tak konsekwentny, anektowałby raczej Chróścińskiego na rzecz czasów saskich. Jest to przykład dość typowy, i dlatego go przywołujemy. Niewątpliwie, jeszczeby się znalazło nieco takich spornych, „błędnych" autorów, których niewiadomo gdzie pomieścić; a wszyscy ilustrują doskonale uwagi prof. Krzyżanowskiego o okresach w naszej historji literatury. Nie idzie tu o znaczenie praktyczne; wszak indeksy ułatwiają orjentację. Idzie tylko o stwierdzenie, że kwestja okresów w polskiem piśmiennictwie jest ciągle jeszcze otwarta, i stąd tyle sposobności do różnych interpretacyj.

Zabłąkał się natomiast do tomu II-go, w towarzystwo Jaraczewskiej i Massalskiego, Krasiński jako powieściopisarz. Dlaczego? Że jego twórczość młodzieńczą można związać z powieścią porozbiorową, jeszcze pseudoklasyczną? Ale przecież i Mickiewicz zaczął od „Zimy miejskiej", zanim „Pierwiosnek" jego poezji doczekał się swojej wiosny! Mickiewicz jednak znalazł się w całości w tomie III-im.

Jak powiadam, są to drobiazgi, które nie mogą w niczem naruszyć konstrukcji prof. Korbuta, pomyślanej jako zwarta i jednolita całość, o ile na to pozwalał materjał opisywany.

Niektóre wszakże zjawiska wymykają się klasyfikacji. Aleksander Fredro znajdzie się po Kropińskim i Wężyku; jest to według autora „najwybitniejszy i najpopularniejszy pseudoklasyk polski" (s. 356). Tymczasem o parę stron dalej (s. 359) cytuje prof. Korbut utwory Fredry „o charakterze romantycznym". Jakże więc? Otóż to, że za romantyzmem Fredry da się powiedzieć tyle właśnie, co za jego pseudoklasycyzmem,—i sprawa trudna jest do przesądzenia. Prof. Kucharski, wydając „Zemstę" w Bibl. Nar. (s. I. № 32, str. 35) powiada o Fredrze kategorycznie: „był żołnierzem, poetą i... romantykiem".

U podstaw książki prof. Korbuta legł doskonały, wzorowy wprost, objektywizm. Nie widać tu autora za palisadą dat, faktów, wydań. Autor jest ukryty. Ukryty tak dalece, że chętnie posłuży się sądem współczesnym dla charakterystyki zjawiska: o Stanisławie Potockim powie tak, jak mówili wówczas: „Książe mówców", o Bentkowskim podobnie „pierwszy dziejopis naszej literatury" i t. d. Czasem wszakże z poza rąbka faktów ukaże się twarz samego autora: gdy postępowy „Pamiętnik historyczno-polityczny" Piotra Świtkowskiego określi jako „znakomity miesięcznik" (s. 60), gdy organ Stefana Łuskiny nazwie „osławionym" (s. 58); to już mówi od siebie prof. Korbut, autor rozprawy o Gorczyczewskim, pogromcy obskurantyzmu.

Wszakże rzadkie to rozmachy pióra. Prof. Korbut unika własnych stwierdzeń i naświetleń, woli wymowę faktów; w objektywności dzieła tkwi jego walor.

Każdy okres poprzedza autor kilkoma wierszami oszczędnej charakterystyki, naświetlającej szczególnie ważne momenty literackie epoki. W lakoniźmie tych uwag nieraz odnajdziemy bystre zabiegnięcie drogi badaniom naukowym: „poezja doby saskiej niesłusznie, jak się zdaje, ryczałtem została osądzona" (s. 1), mówi prof. Korbut o naszej literaturze „augustowskiej", wyprzedzając w ten sposób jeszcze nierozpoczęty jej proces rehabilitacyjny. Gdy jednak dalej (s. 55) powoła się autor na „ciężki sarmacki barok", sąd ten — dziś zwłaszcza, w dobie wzmożonego zainteresowania się barokiem, uważać już można za historyczny.

Zostali tu przywiedzeni wszyscy pisarze swojego czasu, którzy na to zasługiwali. Opuszczeń większej wagi podać nie potrafimy. Chyba tylko ująć się wypada za Juljuszem Kolbergiem Kołobrzegiem (1776 — 1831), inżynierem i geografem, profesorem warszawskiego uniwersytetu, ojcem Oskara; i to nie z uwagi na jego prace kartograficzne ani nawet poezje niemieckie, tylko tłumaczenia z Brodzińskiego i Karpińskiego, które zasługują na przypomnienie. Piękną charakterystykę poświęcił Kolbergowi Brodziński na kartach swego pamiętnika (wyd. Bibl. Nar. ser. I., N. 113, s. 65—6).

Pozatem na marginesie tomu II-go prof. Korbuta zanotowaliśmy nieco pominięć bibljograficznych. Przy „Nowych Atenach" B. Chmielowskiego i Janie Bohomolcu może warto było umieścić „Wypisy czarnoksięskie" J. Tuwima, uzupełniające jego „Czary i czarty polskie", Warszawa, 1924. Przy Konarskim źródłową pracę dra. Tynca: „Echa działalności Stanisława Konarskiego w Toruniu", Tyg. Tor., 1925. Przy Węgierskim, skoro cytuje autor opis obiadu czwartkowego Hoffmanowej, dodajmy i to jeszcze, że jest poeta bohaterem „tragikomedji z czasów Stanisława Augusta". Adolfa Nowaczyńskiego: „Starościc ukarany, czyli niedole Zoila", 1906. Przy Jacku Przybylskim jako charakterystyczne curiosum umieścić można jego „Wydźwięk" (sonet), poświęcony w r. 1788 Feliksowi Oraczewskiemu, o czem pisał K. Bartoszewicz w art. „Pierwszy sonet polski (!) na cześć członka Komisji Edukacyjnej", Rzplita, r. 1923, nr. 361 [1]. Nieznany albumowy wiersz Karpińskiego „Do Aleksandry Tyzenhauzówny" z r. 1793 ogłosiła G. Puzynina w pamiętniku „W Wilnie i w dworach szlacheckich", Wilno, 1928, s. 369, o czem pisał Ign. Chrzanowski, Ruch Literacki, 1928, nr. 9. Przy Tadeuszu Nowaczyńskim przydałaby się informacja, że był on także — pijar — tłumaczem Woltera, o czem por. Smolarski „Studja nad Wolterem w Polsce", 1918. W literaturze o Tow. Przyj. Nauk opuszczony „Skorowidz osobowy i rzeczowy do ośmiu tomów monografji historycznej Aleksandra Kraushara: Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk..., Warszawa. Kraków, 1911 (tu także recenzje monografji). Przy „Słowniku" Lindego warta zanotowania wiadomość o spisie dzieł i autorów cytowanych w Słowniku, Nowy Pamiętnik Warszawski, 1804, XIII. Przy Adamie Chłędowskim nieobojętne wynurzenia Brodzińskiego „Wspomnienia mojej młodości". Bibl. Nar. ser. I. № 113, s. 43—4 Rozprawa o poemacie sielskim Józefa Lipińskiego ukazała się także w Pamiętniku Warszawskim, I, 1815. Michał Wyszkowski używał inicjałów M. W., które rozwiązał Bentkowski, I, 395, o czem patrz Z. Mocarski, Mestwin, 1928, № 13—14. W literaturze o Majeranowskim trzebaby dodać W. Hahna „Kościuszko w polskiej poezji dramatycznej". Poznań, 1918. Oto kilka ważniejszych marginesowych uzupełnień.

Zarówno recenzent jak i czytelnik wie doskonale, co o nich sądzić. Są to naprawdę przysłowiowe „krople w morzu". Choćby ich poczet powiększył się nieco, pamiętajmy, że nie powiększy się o rzeczy zasadnicze i szczególnie ważne, a jedynie o pozycje drobne, mniej znaczące. I to jeszcze jedno: przy ogromie informacji jakie znaleźć można u prof. Korbuta, nikłe wydać się muszą wszelkie uzupełnienia. Wszak stokroć łatwiej zebrać uzupełnienia do „Literatury", niż dać im podstawę: niż zgromadzić materjały do tego czterotomowego dzieła, które imponuje zabiegliwą skrzętnością, zdumiewa erudycją, owoc pracy jednego człowieka, jego troski i umiłowania.

Warszawa. *Tadeusz Mikulski.*

[1] Por. K. Bartoszewicz „Szkice i portrety literackie" t. I. Kraków 1930. F. Oraczewski inicjator Komisji Edukacyjnej.

D e m b y S t e f a n. Bibljoteka Narodowa w Warszawie. Wyd. II uzup. Warszawa Bibljoteka Narodowa 1930 s. 31.

Drobna rozmiarami ale niezwykle ciekawa i pod względem informacyjnym wprost nieoceniona broszura St. Dembego, nie powinna ujść uwagi badaczy polskiej literatury. Poza historycznem ujęciem sprawy

stworzenia Bibljoteki Narodowej, poczynając od Załuskich, J. M. Ossolińskiego, F. Łubieńskiego, K. Estreichera, Fr. Papée'go, aż do dni ostatnich, przynosi praca p. Dembego szereg szczegółów, wyjaśniających dokładnie, w jaki sposób wśród warunków niezwykle trudnych, myśl wielka realizuje się obecnie. Autor zaznacza, że Ministerstwo Oświecenia od r. 1918 zbiera, nabywa i gromadzi cenne zbiory druków, rękopisów, sztychów i map — „a czyni to planowo — nie przygodnie", dalej pisze o zbiorach rapperswilskich, które jako podstawowe weszły do przyszłej Bibljoteki Narodowej w Warszawie, o kolekcji pism Hoene-Wrońskiego, o bibljotece ś. p. Sewer. Smolikowskiego, o bibljotece batignolskiej i Towarzystwa Demokratycznego, o bibljotece horynieckiej i t.d. i t.d. Rzecz zrozumiała, że sporo uwag poświęconych jest rewindykacjom z dawnej bibljoteki Załuskich. Dalsze informacje dotyczą ustawowego ustanowienia Bibljoteki Narodowej z siedzibą w Warszawie, następnie założenia Instytutu Bibljograficznego i Biura Wymiany Wydawnictw. Za nim osobny gmach zostanie wybudowany, Min. Oświaty wynajęło piękny lokal w bibljotece Wyższej Szkoły Handlowej, gdzie umieszczono około pół miljona numerów liczący księgozbiór.

O wszystkiem napisał p. Demby — przemilczał jednak o rzeczy bardzo ważnej: oto jeśli w krótkim czasie poszczycimy się stworzeniem w Warszawie wielkiej Bibljoteki Narodowej, to przedewszystkiem jest to zasługą p. Dembego, który niestrudzenie, z oddaniem wszystkich sil nad tem czuwa. Życzyć mu należy, by wszystkie zamiary jego spełniły się w jak najrozleglejszej mierze.

Warszawa. Bronisław Gubrynowicz.

D e m b y S t e f a n. „Bene merentes", dobrze zasłużeni z ziemi płockiej. Warszawa 1931, str. 34. (Odbitka z Księgi pamiątkowej Koła Płocczan).

Z bogatych swoich notatek rękopiśmiennych zestawił p. Demby liczny poczet pracowników naukowych i ludzi talentu, których wydała lub wychowała ziemia płocka, poczynając od czasów najdawniejszych aż po dzień dzisiejszy. Przed oczyma czytelnika przesuwają się na wstępie dygnitarze kościelni, uczeni i poeci z XV i XVI wieku, jak Maciej z Raciąża, Mikołaj z Mniszewa, Stanisław Górski, Stanisław Niger Chrościeski, Walenty Kuczborski, Stanisław Grzebski, Wawrzyniec Goślicki, Bartosz Paprocki, M. K. Sarbiewski; co do ostatniego sprostować należy omyłkę, był jezuitą a nie pijarem. Z wieku XVIII wymienia autor Ign. Tańskiego, Andrz. Zamoyskiego, Winc. H. Gawareckiego; bogato przedstawia się lista zasłużonych płocczan w wieku XIX, o których znaleść można w broszurze wiele cennych szczegółów. Historykom literatury polskiej praca p. Dembego daje niejedną pożyteczną wskazówkę bibljograficzną.

Warszawa. Bronisław Gubrynowicz.

B I B L J O G R A F J A

BIBLJOGRAFJA LITERATUR OBCYCH ZA 1930/31 R.

LITERATURA FRANCUSKA (c. d.)

M a y n i a l E d. L'époque réaliste. (Coll. Le XIX-e siècle). Paris 1931.

B i l l y A. Les écrivains de combat. (Le XIX-e siècle). Paris 1931. p. 270.

M a r s a n E u g. Instances. Paris. 1931. (szkice o liter. XIX w.).

L a n s o n G. Réflexions sur les mouvements récents et les tendances actuelles de la littérature française: 1830—1930. (Revue des cours et conferences nr. du 30 avril 1931).

Z i l c k e n P h. Au jardin du passè, un demi-siècle d'art et de littérature. Paris. 1931.

S o u r i a u M. Histoire du Parnasse. Paris 1930.

D e s o n a y F e r n. Le rêve hellénique chez les poètes parnassiens. Paris 1929.

P o i z a t A l f r. Du classicisme au symbolisme. Paris 1929.

C h a r p e n t i e r J. Les évolutions de la poésie lyrique de Joseph Delorme à Paul Claudel. (Oeuvres représentatives). Paris 1931.

S o u p a u l t P h i l. Baudelaire. (Maîtres des Littératures). Paris 1931. p. 74+60 planches.

L a f o r g u e R. L'echec de Baudelaire, étude psychanalytique. Paris 1931. p. 239.

Rhodes S. A. The Cult of Beauty in Charles Baudelaire. New-York 1929.V. I—II.

Faure-Biguet J. N. Gobineau. (Coll. le roman des grandes-existences. nr. 33). Paris 1930.

Batilliat M. Emile Zola. (Coll. Maîtres des littératures). Paris 1931.

Le Blond-Zola D. Emile Zola raconte par sa fille. Paris 1931. p. 264.

Josephson Mat. Zola and his time. New-York 1929.

Farrere Cl. Loti. Paris 1930.

Stern L. Pierre Loti et Carmen Sylva (1891—1908). Paris 1931. p. 182.

Pierre Loti vu par ses contemporains (Mercure de Flandre 1931 janvier — février).

Larguier L. Mistral. Paris 1930.

Thibaudet A. Mistral ou la République du soleil. Paris 1930.

Coulon M. Dans l'Univers de Mistral. Paris 1930.

Ripert Em. Mireille mes amours. Paris 1930.

Praviel Arm. Notre Mistral. Paris 1930.

Véran Jul. La jeunesse de Fr. Mistral et la belle histoire de Mireille. Paris 1930.

Dagan Alfr. Fred. Mistral. Paris 1930.

Hommage a Mistral. (La nouvelle revue française 1930 nr. 1 mai. (Artykuły i rozprawy następ. autorów: Ch. Maurras. Comt. de Noailles, A. Chamson, A. Thibaudet, H. Bosco, J. Delteil, J. Grenier i in.).

Blanchart P. Henry Becque, son oeuvre. Paris 1931. p. 128.

Voisins G. François de Curel. („Les quarante"). Paris 1931.

Krollman Clara. Arthur Rimbaud und die Krise des Abendlandes. 1929. s. 101.

Rolland de Renéville A. Rimbaud le voyant. Paris 1930.

Bertaut J. L'opinion et les moeurs. (Coll. La troisieme République). Paris 1931.

Lecomte G. Roman français de 1900 à 1930 (Larousse mensuel illustre. Paris 1931 avriel).

Vingt chefs - d'oeuvre juges par leurs contemporains par J. G. Prod'homme. Préface d'Alb. Thibaudet. Paris 1930. p. XIII+281.

Ariste P. d' La vie et le monde du boulevard. (Coll. La France et la vie d'autrefois). Paris 1930.

Albalat Ant. Trente ans de Quartier latin, nouveaux souvenirs de la vie littéraire. Paris 1930. p. 185.

Poulaille H. Nouvel âge littèraire. Paris 1930.

Souday P. Les livres du temps. III série. Paris 1930. p. 220.

NOTATKI — KRONIKA.

NIEKTÓRE UZUPEŁNIENIA I SPROSTOWANIA NOWEGO WYDANIA „LITERATURY POLSKIEJ" G. KORBUTA

Znaczenie i zalety dzieła Korbuta są znane i uznane. W szczegółach — oczywista — nie obyło się bez pewnych braków, niedociągnięć i omyłek, ale można się dziwić, że w tej olbrzymiej pracy, dokonanej wysiłkiem jednego człowieka, jest ich naprawdę mało. Zwłaszcza w literaturze do roku 1863, bo okres ostatni jest wogóle opracowany pobieżniej, z mniejszą dokładnością i niezawsze z jednakowo zupełnem i bezpośredniem opanowaniem przedmiotu. Mimo to, nawet ów ostatni tom dzieła Korbuta, jako całość i w wielu szczegółach, jest najobfitszym dla okresu po roku 1863-cim zbiorem wiadomości bio—i bibliograficznych. Z nieuniknionych w podobnej i o takim zakresie pracy niedomagań zdawał sobie sprawę sam autor, skoro w przedmowie do tomu I-go wzywa badaczy literatury o nadsyłanie lub ogłaszanie sprostowań i uzupełnień. Dlatego, czyniąc zadość wezwaniu autora, garść zauważonych braków ogłaszam drukiem. Nie mogę rościć pretensyj do ich wyczerpania. Przeglądając dzieło, notowałem i następnie sprawdzałem tylko te wątpliwości, które nasuwała mi własna moja pamięć. Uwzględniony materjał jest więc ograniczony ramami zainteresowań indywidualnych. Zadanie doskonalenia nieocenionego dzieła winno być dokonane siłami zbiorowemi. Jedną z cząstek tego trudu pragną być podane niżej uwagi.

Do tomu I-go. Str. 283. Kubala: Jerzy Ossoliński. Wyd. II przejrzane i uzupełnione przez autora. Lwów 1924 (antidat. 1923).

Str. 509. Krótki wybór pism St. H. Lubomirskiego w „Pisarzach polskich" Zdz. Dębickiego, t. II (b. r. 1920).

Do tomu II-go. Str. 113. Karpiński: Wybór poezyj. Oprac. Wład. Jankowski. Kraków 1926. „Bibl. Narod." s. I, nr. 89.

O poetach Stanisławowskich: Stan. Wasylewski w III-em poprawionem i uzupełn. wyd. „Na dworze króla Stasia" (b. r. 1930).

Str. 356. Mianowanie Aleksandra Fredry pseudoklasykiem musi budzić zastrzeżenia. Podobnie, jak czyni autor w innych wypadkach, należało tu przytoczyć sprzeczne w tej sprawie poglądy.

Str. 364. Brücknera „O Fredrze" (1923) przedruk w „Legendy i fakty". Łódź (1931).

Str. 362. Do monografji Chrzanowskiego o Fredrze sprostowania Boya-Żeleńskiego w artykule: „Wiatrologja" („Flirt z Melpomeną i inne flirciki. Wieczór trzeci". Kraków 1922, i „Marzenie i pysk". Warszawa 1930).

Do tomu III-go. Str. 31. O t. zw. wydaniu sejmowem Mickiewicza — Wiktor Piotrowicz: W nawiasie literackim. Wilno 1930.

Str. 37—61. (Do liter. o Mickiewiczu): Al. Brückner: A. M. Żywot i dzieła. Złoczów b. r. (1927). — Kleiner: M. na tle literatury światowej. „Tyg. Ill." 1929 nr. 18. — Volkelt o M. por. Ign. Chrzanowski: Sądy estetyka niemieckiego o M. („Z epoki romantyzmu". Kraków b. r. 1918.—Artykuły Kasprowicza o M. przedruk. w t. XIX „Dzieł" K-a. Kraków 1930.—Artykuły J. N. Millera o „Panu Tadeuszu" przedruk w tegoż „Zaraza w Grenadzie" (Warszawa 1926).

Str. 90. Brücknera „O „Marji" Malczewskiego słów kilka" przedruk w „Legendy i fakty". (Łódź 1931).

Str. 146—165. (Do liter. o Słowackim): Al. Brückner: J. S. (Ariosto północy). Żywot i dzieła. Złoczów b. r. (1927). — Jul. Wołoszynowski: Słowacki. Powieść. Poznań b. r. (1928). — O „Księciu Niezłomnym" Tad. Peiper w „Zwrotnicy" i w książce „Tędy" (Warszawa 1930).

Str. 175—183. (Do liter. o Krasińskim): Al. Brückner: Z. K. Żywot i dzieła. Złoczów b. r. (1927).

Str. 266. Zdzisław Kaczmarek: Źródła poglądów estetycznych Libelta. Poznań 1930.

Str. 345: Artykuł Kasprowicza o Karolu Brzozowskim przedruk. W „Dziełach" K-a, t. XX. Kraków 1930.

Str. 354. W artykule o Karolu Estreicherze przy „Bibljografji polskiej" brak dat i rozkładu dzieła, co należało uwzględnić.

Str. 385. Przekład „Fausta" Goethego przez Al. Krajewskiego, uważany za jeden z najlepszych w polskim języku, ukazał się w nowem wydaniu, opracowanem i poprawionem przez Alfreda Toma (Warszawa 1921).

Str. 395. Ustęp z „Podróży po starożytnym świecie" Władysława Wężyka wydał J. St. Bystroń p. t. „Egipt" (Kraków 1930. Wydawca zalicza tę książkę do najpiękniejszych polskich opisów podróży).

Str. 451. Czachowski: Hofmanowa i Żmichowska w nowem oświetleniu (z obszernem uwzględnieniem listów Żmichowskiej). „Przegląd Współcz." 1929, t. XXXI, nr. 92.

Str. 452. Nad monografją o Zofji Węgierskiej pracuje Aurelja Wyleżyńska.

Str. 481. Tad. Dąbrowskiego charakterystyka Józefa Korzeniowskiego wyszła też oddzielnie (Lwów 1914).

Str. 531. (Do liter. o Kondratowiczu): M. Brensztejn: A. H. Kirkor. Wilno 1930.

Str. 537. K. Czachowski: Ojciec Conrada. „Wiad. Liter." 1927 nr. 192 (uzupełnia bibljografję Apolla Korzeniowskiego).

Do tomu IV-go. Str. 18. Bolesław Limanowski: Plutarch polski, 5 tomików, 1920 (Kołłątaj, Traugutt, Staszic, Kościuszko, Łukasiński).

Str. 42. A. A. Kryński: Jak nie należy mówić i pisać po polsku. 1921. Część II. 1931.

Str. 87. Aureli Drogoszewski: Pozytywizm polski, 1931, poprzednio w „Enc. Wychowawczej" (1923); studjum o Tetmajerze jako liryku w „Bibl. Warsz." 1899; studja o Żeromskim, Wyspiańskim i Gomulickim w „Głosie" warsz. 1902; artykuły i studja krytyczne w „Wieku XIX. Sto lat myśli pol.", „Książce", „Sfinksie", „Przegl. Humanist.", „Wiadom. Liter." i in.

Str. 101. Wład. Bełza: Kronika potoczna i anegdotyczna z życia Adama Mickiewicza, 1884; Ostatnie chwile i pogrzeb Adama Mickiewicza, 1890; Katalog biblioteki mickiewiczowskiej, 1896; Dla dzieci, wybór pism, 1897; libretto do opery „Wanda" H. Jareckiego, 1882; Antologja polska, 1882; Antologja obca, 1882; Żydzi w poezji polskiej, 1883, Sobieski w poezji polskiej, 1883; Kobieta w poezji polskiej, 1885; Księga aforyzmów i t. d. ze stu pisarzy polskich, 1888.

Str. 115. O Zofji Trzeszczkowskiej: Marja Łopuszańska w tygodniku warsz. „Przebudzenie", 1911, nr. 21.

Str. 153. M. Rodziewiczówna; Florjan z Wielkiej Hłuszy, 1929; zbiorowe wydanie „Pism" z przedmową Zdzisława Dębickiego wychodzi od. r. 1926, dotychczas 32 tomy.

Str. 183. Oswald Balzer: Królestwo Polskie 1295 — 1370", 3 t., 1919 — 20; „Stolice Polski 963—1138", 1916; „Z zagadnień ustrojowych Polski", 1917;

Str. 185. Franc. Bujak: Nauka a społeczeństwo. Szkice z dziedziny naukoznawstwa, 1930.

Str. 204. Jan Czubek: opracowanie jubileuszowego wydania „Pism" Zyg. Krasińskiego, 1912.

Str. 214. Tad. Grabowski: Wstęp do nauki literatury, 1927.

Str. 243. „Współcz. polska twórczość dramatyczna" H. Sanda (1911) mylnie zaliczono do prac kompilacyjno - popularnych. Jest to studjum samodzielne, w którem m. in. po raz pierwszy obszerniej uwzględniono twórczość dramatyczną T. Micińskiego.

Str. 243. Tom Z. Przesmyckiego p. t. „Pro arte" (1914) nawiera niemal wyłącznie wybór studjów i artykułów, drukowanych przedtem w „Chimerze" Niema tam podanych przez Korbuta dawniejszych studjów autora. — Dzieła Przesmyckiego uzupełnić tomem przekładów p. t. „U poetów", 1921.

Str. 246. Fr. Nowicki: „Pieśni czasu" (1904, u Korbuta mylnie 1905) są drugiem wydaniem „Poezyj" (1891).

Str. 255. St. Witkiewicz: „Testament" (1922) jest pełnem wydaniem okrojonych przez wojenną cenzurę austrjacką „Ostatnich słów" (1915).

Str. 256. Do literatury o St. Witkiewiczu: Wład. Orkan: „Warta", 1926.

Str. 258 i 292. Pseudonimu Włast w „Chimerze" używał nie Z. Przesmycki, lecz Marja Komornicka.

Str. 259. W. Berent. Do III-go wyd. „Fachowca" (1912) dodano „W puszczy. Krajobrazy".—Poetycki komentarz „Z marginaliów Oziminy" (wiersze usunięte z wydania powieści podczas korekty)—w „Mies. Liter. i Artyst." 1911. marzec. — Pierwodruk „Żywych kamieni" w „Zdroju" pozn. 1917—18 p. t. „Opowieść rybałta" — Studjum: „Niezgłębione tajemnice pewnej bajki" (Goethego) — w „Przegl. Warsz." 1925, t. XIV. — Przekłady: Nietzschego („Tako rzecze Zaratustra", „Z psychologji sztuki"), Chr. D. Grabbego („Żart, satyra, ironja i głębsze znaczenie"), J. P. Jacobsena („Doktór Faust"), „Upaniszadów" (w „Chimerze", 1907, t. X.), Maupassanta („Baryłeczka"), Goethego („Gawęda o duchach, oraz Historja moralna"), Hamsuna („Włóczęga"), Stendhala („Z kronik włoskich"), L. Hearn, R. Rollanda („Żywot Michała Anioła"), Ibsena („Wróg ludu"), Kingsleya („Heroje").

Str. 274. Wydanie oddzielne „Nietoty" (1910) różni się od pierwodruku w „Sfinksie", 1908 — 1909.

Str. 298. Bibljografję przekładów L. Staffa zebrał K. Czachowski — w „Wiadom. Liter." 1929, nr. 28.

Str. 303. Do literatury o St. Brzozowskim: St. Baczyński „Sztuka walcząca", 1923.

Str. 304. Tad. Nalepiński: Kazia, 1919.— Datę wydania „Śpiewnika rozdartego" poprawić na r. 1914.

Str. 314 — 316. Ustęp o Josephie Conradzie (Konradzie Korzeniowskim) nie należy do literatury polskiej, mimo wyjaśnienia Korbuta w posłowiu na str. 367—368, gdzie tendencyjny zwrot o Przybyszewskim conajmniej razi na tle całego dzieła, utrzymanego w ramach objektywnych.

Kraków. *Kazimierz Czachowski.*

KORNEL UJEJSKI O „FINIS POLONIAE"

Studjum Józefa Tretiaka „Finis Poloniae", Kraków 1921, przyniosło „historję legendy maciejowickiej", oraz jej — w przekonaniu autora rozwiązanie. Dzisiaj wrócił do tego zagadnienia Stanisław Zetowski w artykule „Legenda o Finis Poloniae" u Słowackiego", ogłoszonym właśnie w Ruchu Literackim 1931, № 9. Badania Zetowskiego wzbogaciły naszą wiedzę o legendzie mnóstwem faktów zarówno historycznych. jak literackich.

Na marginesie owego artykułu chcielibyśmy zanotować jeden jeszcze drobiazg, nieobojętny dla dziejów pozgonnych Kościuszki.

W wierszu Kornela Ujejskiego z r. 1853, „Pogrzeb Kościuszki", napotykamy m. in. strofy następujące:

Już hetmana wyniesiono pod namiot roz- [pięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Sta- [nisław Święty:
„Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim [patronie,
Jeśli prawda, że krzyknąłeś raz: F i n i s [P o l o n i a e".

Na to hetman: „O, mój ojcze! choć ser- [cem przelękłem
Zanurzałem się w boleściach — tych [słów nie wyrzekłem!
Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna [wzięła,
Z czego wkrótce pieśń urosła: J e s z c z e [n i e z g i n ę ł a!" [1].

---

[1] Drobne poemata i urywki Kornela Ujejskiego, wyd. drugie, pomnożone. Przemyśl, 1893, s 64—5.

Dwa tu szczegóły, godne podkreślenia. Więc najpierw genetyczny wywód okrzyku „Jeszcze Polska nie zginęła“ z tego poprzedniego: „Finis Poloniae“. Pisze już o tem Tretiak, l. c. s. 7: wyrazy, „od których się zaczyna nieśmiertelny mazurek Dąbrowskiego, wyglądają tak jak gdyby wywołane były słowami legendy maciejowickiej, jak gdyby były odruchowem jej odparciem [1].

I to drugie: Kategoryczne stwierdzenie Kościuszki: „tych słów nie wyrzekłem“.

Opatrzył je Ujejski objaśnieniem następującem:

„Finis Poloniae“, słowo straszne, złowrogie; dające uniewinnić się zwątpieniem, które i najwznioślejsze duchy chwilowo przygniata, a jednak faktycznie niepodobne, aby mogło być wyrzeczone pod Maciejowicami przez Kościuszkę. Wiemy, że w końcu krwawej tej bitwy pozostała garstka naszych w rozsypce szukała ocalenia. Kościuszko uchodząc na koniu, przedzierał się zaroślami i trzęsawiskiem; dognany przez prostych Kozaków, skłuty i zrąbany, bez przytomności padł na ziemię.

[1] Także prof. Chrzanowski w szkicu „Nasz hymn narodowy“, Ossolineum 1922, s. 20 n. widzi w pieśni legjonów odpowiedź na zwątpienie powszechne po upadku powstania 1794 r.

Szczegółów tych nie podaje nam żaden z Polaków, widać nie było ich w pobliżu; a Kozacy opowiadający je przed Fersenem w obecności jeńców polskich, nie przytaczali żadnych słów upadającego Naczelnika. Toż i Naczelnik dla określenia swej rozpaczy nie używałby obcych wyrazów; każdy monologiczny wykrzyk szczerego, gwałtownego uczucia tylko w ojczystej wyrywa się mowie. Zbytecznie rozszerzamy się z naszymi dowodami, zwłaszcza, że chcieliśmy jedynie umieścić następującą notę: W zbiorze Leonarda Chodźki w Paryżu, znajduje się list Kościuszki, w którym tenże oświadcza, iż nigdy, przy żadnej okoliczności, przypisywanych jemu słów: „Finis Poloniae“ nie wypowiedział [1].

Nie dziwić się poecie, że nie spostrzegł w liście naczelnika — apokryfu; wszak nie spostrzegł go historyk, Korzon! [2].

Warszawa. *Tadeusz Mikulski.*

[1] Drobne poemata i urywki, s. 69—70. Szczegóły owego apokryfu u Tretiaka, l. c. s. 39—45.

[2] Podobnie jak Ujejski oświetlił „Finis Poloniae“ (A odzew niech głosi: „nie zginie“!) dramat pięcioaktowy Zenona Parvlego: Rok 1794 (Berek Joselowicz), 1904; Zob. W. Hahn, Kościuszko w polskiej poezji dramatycznej. Poznań 1918, s. 32—4.

PRENUMERATA RUCHU LITERACKIEGO:

Roczna (zesz. 1—10) w Warszawie bez odnoszenia do domu zł. 14.—; z przesyłką pocztą: w Warszawie, na prowincji i zagranicą zł. 16.—

(Półroczna (zesz. 1—5, I-e półr. wzgl. 6—10, II-e półr.) w Warszawie bez odnoszenia do domu zł. 7.—; z przesyłką pocztą j. w. zł. 8.—

Cena numeru pojedyńczego zł. 1.50.

Prenumeratę można wpłacać do P. K. O. na Konto № 12500.

WYDAWCY: GEBETHNER i WOLFF REDAKTOR: BRONISŁAW GUBRYNOWICZ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. ZGODA 12. TEL. 778-14.

Korespondencje, dotyczące spraw redakcyjnych należy przesyłać pod adresem Sekretarjatu PIOTR GRZEGORCZYK, Warszawa, ul. Kromera 4 m. 18.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 691-03.